

TYTUS FILIPOWICZ

DIALOGI

O ŻYCIU I ŚMIERCI



NAKŁADEM WYDAWNICTWA „ŻYCIE”
W KRAKOWIE .. SKŁADY GŁÓWNE:
G. CENTNERSZWER I SKA, WARSZAWA;
H. ALTENBERG, LWÓW; THE POLISH
BOOK IMPORTING Co, W NEW-YORKU.





TYTUS FILIPOWICZ.

DIALOGI O ŻYCIU I ŚMIERCI.



NAKŁADEM WYDAWNICTWA „ŻYCIE“ W KRAKOWIE.
SKŁADY GŁÓWNE:

G. CENTNERSZWER I S^{KA}, WARSZAWA; H. ALTENBERG,
LWÓW; THE POLISH BOOK IMPORTING CO, NEW-YORK.



PRZEDRUKI I NIEUPRAWNIONE PRZEZ AUTORA TŁUMACZENIA
WZBRONIONE.



7639



36 272549

CZCIONKAMI Drukarni Ludowej w Krakowie, ul. Filipa 11.

I

Morał nowoczesny.

Mirosław (*odkładając warszawskie „Słowo“*). Podoba mi się to pismo coraz więcej. Pod wieloma względami jest daleko bardziej radykalne od wszystkich postępowców w Warszawie, razem wziętych. A przede wszystkim nie ma tej ich niezdolnej iluzji, jakoby kultura u nas posuwała się naprzód.

Bronisław. Zapewne. Lecz przyznam się, — nie wierzę w szczerość zapewnień „Słowa“ o raptownym upadku u nas kultury. Bezwarunkowo, w ciągu kilku lat ostatnich, pozorów, wskazujących na to, nie brak: kraj ubożeje; ogólne zdziwienie obyczajów jest faktem; nietylko zatargi fabryczne, lecz i rodzinne załatwiane są z pomocą maga zynowej broni; młodzież szkolna, o ile wogóle powieściową literaturę czyta, zachwyca się wyłącznie typami Kmiciców i Bohunów; nawet bandytyzm ostatnimi czasy zdegienerował się i nie występuje tak śmiało, jak dawniej. Lecz z drugiej strony mamy wzrost liczby szkół, zwiększenie się ram dla inicjatywy osobistej, wolny dostęp do najcelniejszych galicyjskich wydawnictw ilustrowanych, no i przede wszystkim, oficjalną reprezentację kraju, rokującą najlepsze nadzieje na przyszłość. Fakty dodatnie bezwątpie-

nia przeważają. Wobec tego stałe powtarzanie o upadku u nas kultury uważam raczej za pewien wybieg dyplomatyczny. Pedagogom wiadomo, iż są uczniowie, na których pochwała działa w ten sposób, że zupełnie przestają pracować; chcąc, by szli naprzód, należy ich ciągle ganić. Otóż nasi publicyści stosują taką metodę pedagogiczną do własnego społeczeństwa. Co dowodzi tylko, że istotnie znają je nawskroś.

Mirosław. Zdaje mi się, że się mylisz. Twierdzenie o upadku u nas kultury nie jest ani frazesem ani wybiegiem. Upadek taki daje się zauważyć od szeregu lat, co więcej, można go przewidzieć w najbliższej przyszłości. Wiedną i wyradzają się nie tylko liście i gałęzie olbrzymiego drzewa życia społecznego, lecz chory jest sam jego rdzeń wewnętrzny. Nie przeraża mię ani ciemnota, ani bandytyzm, ani upadek dobrobytu, ani kainowe walki bratobójcze, ani wybuchy nienawiści ciemnych i wydziedziczonych, ani jeszcze dziksze wybuchy nienawiści posiadających i wykształconych, skierowane przeciw wydziedziczonym, ani żaden z podobnych faktów wziętych oddzielnie. Przerażam się dopiero, gdy widzę dodany do nich chaos pojęciowy, jaki możemy podziwiać na każdym kroku i na każdym miejscu; gdy widzę konserwatyzm, zapewniający o swej postępowości, postępowców nasiąkniętych fanatyzmem, socjalizm, trącający stańczykami, szukającą w sobie chwały nietolerancję powszechną, a obok: kler wojujący, marjawityzm, Szecha, sienkiewiczowe wyklinanie rewolucji i rewolucję błogosławiące „Słowo o Bandosie“. Bo to wszystko, razem wzięte, świadczy, że w społeczeństwie naszym istnieje nie tylko zamęt polityczny i spo-

łeczny, lecz zupełny chaos najbardziej podstawowych pojęć, którego tamte fakty są jeno objawami zewnętrznymi. To świadczy, że u nas niema ani jednej zasady moralnej lub politycznej, która, będąc wspólną własnością wszystkich, umożliwiałyby współżycie i stwarzała w przyszłości możliwość dokonania zbiorowego czynu. Kultura — to pewna ideowa i życiowa jednolitość. A ta jednolitość zmniejsza się u nas, nie wzrasta.

Bronisław. Pesymizm krańcowy a nieuzasadniony! Nie żyjemy na wyspie, zupełnie odcięci od reszty świata. Jeśli nawet nie znaleźlibyśmy w sobie sił, mogących przyczynić się do zakończenia chaosu, ustanie on pod wpływem prądów, przenikających cały świat cywilizowany.

Mirosław. Ciekawym, skąd ta nadzieja! Ten zamęt pojęciowy nie jest bynajmniej naszą własnością wyłączną, jakimś czysto polskim wytworem. Gdybyż tak było! Mieilibyśmy wówczas coś naprawdę swojego i swojskiego, a więc w każdym razie coś, z czego moglibyśmy być dumni, podobnie jak Japończycy ze swej oryginalnej béri-béri, lub Indusi — z cholery. Nie bądźmy jednak zarozumiali! Bezład, o jakim mówię, jest tylko przejawiającym się w naszych warunkach zamętem pojęciowym, istniejącym na całym zachodzie. Tam również wypływa z tegoż samego, co u nas, źródła: z braku pewnych wspólnych, ogólnie uznawanych wskaźników życiowych. Jeśli na zachodzie Europy nie przedstawia się w takiej formie drastycznej, jak u nas, to jedynie dzięki wpływowi zachodnich warunków politycznych. Inny rezultat ostateczny bynajmniej nie dowodzi, by sam chaos pojęciowy był tam mniejszy. Prze-

ciwnie, jest on tam większy, gdyż tam powstał i narodził się...

Bronisław (*przerywając*). Jesteśmy więc zatruwani zachodnią anarchją umysłową: ona to niszczy naszą kulturę rodzimą, wysoką i odwieczną. Ciekawe odkrycie! Dotychczas bowiem myślałem, że to właśnie nasze dzieje wewnętrzne ostatnich lat zapewniły nam pierwsze miejsce w szeregu niszczycieli kultury zachodniej!

Mirosław. Wcale nie mówię, byśmy mieli wyrzekać się zaszczytu zajmowania pierwszego miejsca w tym szeregu! Na razie chodzi mi o to tylko, że wpływy, leżące w podłożu całej naszej — jak ją nazywasz — anarchji, nie są ani naszą własnością wyłączną, ani od wczoraj rozpoczęły swe istnienie. Spójrzymy w głąb rzeczy. Społeczeństwo może żyć równo i spokojnie wówczas, gdy posiada nietylko pewne trwałe wytyczne ideowe, lecz gdy istnieje równowaga pomiędzy temi jego pojęciami a czynami życia. Otóż ta równowaga została na zachodzie naruszona już oddawna i w każdej dziedzinie. Aby ją znaleźć, trzeba cofnąć się aż gdzieś w głąb średniowiecza. Istniały wówczas twarde warunki bytu, lecz one odpowiadały pojęciom o tym, jakie życie być powinno, te zaś układały się w składną całość z poglądami na przyrodę, a te znowu, — z wymaganiami etyki i całokształtem wierzeń; w takiej atmosferze mogli wyrastać ludzie, których czyny były jedną modlitwą, a modlitwa — myślą o czynach. Później wszystko poczęło iść rozbieżnymi drogami. Z chwilą, gdy nowa filozofja sprobowała przeciwstawić się filozofji tradycyjnej, gdy moralność poczęła mówić jedno, prawo — co innego, a interes — jeszcze co innego, w tej ciągłej roz-

terce pomiędzy nakazem moralu a istotną pobudką czynu, gdy zamiar w wolę się przeradza, usta już szepczą o odwrocie. I doszło już oddawna do tego, że ludzie mają religję — dopóki są w kościele, poczucie prawa — dopóki są w sądzie, moralność — dopóki nie zetkną się z innymi.

Bronisław. Przesadzasz. W tym, co mówisz, jest dużo prawdy, o ile rzecz idzie o niewspółmierność kierunków ideowych z życiem; trochę prawdy — gdy zaznaczasz sprzeczności pomiędzy poszczególnymi zasadami dziś przyjętymi; lecz prawie żadnej, gdy wskazujesz na nietrwałość i chwiejność zasad i pojęć wyznawanych. Przekonany jestem, że o ile człowiek nowoczesny uznaje jakąś formułę, to w całym jej zakresie i ze wszystkimi konsekwencjami; inaczej, wprost niepodobna wyobrazić sobie istnienia choćby jakiej takiej podstawy dla ufności pomiędzy ludźmi.

Mirosław. To też tej ufności, na konsekwentnym rozwijaniu wyznawanych zasad opartej, niema. O ile ona wogóle gdzieś się przejawia, to jest wynikiem przypadkowym zupełnie innych czynników. Jeśli ci chodzi o dowody na poparcie tego, com powiedział, a co podajesz w wątpliwość, — natychmiast służę. Weź jakąś ideę oderwaną, choćby np. — wybacz tę ekskursję poza bezpośredni temat rozmowy — ideę nieśmiertelności duszy, i sprawdź, o ile ci, którzy w nią wierzą, potrafią rozwinąć ją konsekwentnie i trzymać się jej stale. Umyślnie biorę taki przykład, aby ci wykazać, że nawet w wypadku, w którym niema mowy o żadnych otamowujących wpływach praktycznych, myśl człowieka dzisiejszego zatrzyma się w pół drogi. Otóż zobaczmy najprzód, jak tę ideę

rozwija lud, nie znający tak silnej rozbieżności pomiędzy wiarą a życiem, a przynajmniej nie zniszczony przez nią w takim stopniu, jak my jesteśmy. Domyślasz się, że mówię o Japończykach. Jeśli spytasz wierzącego w nieśmiertelność Japończyka, co robiła jego dusza, nim zamieszkała w jego ciele, możesz otrzymać odpowiedź różną: jeden ci powie, iż od początku świata odbywała wędrówkę, wcielając się w coraz nowe kształty, inny — że przebywała u stóp stwórcy, służąc mu; gdy spytasz, co czynić będzie w przyszłości, dostaniesz odpowiedź, że, doskonaląc się coraz więcej, będzie przechodziła z ciała do ciała, póki nie osiągnie doskonałości najwyższej, lub może — iż będzie istniała niewidzialna dla oka ludzkiego, patrząc na czyny przyszłych pokoleń. W każdym razie każdy z tamtych ludzi, wierzących w nieśmiertelność, wyraźnie zdaje sobie sprawę, jak żyła jego dusza, nim wcieliła się w jego własne ciało, i jak żyć będzie później. I tę wiarę Japończyk stosuje na każdym kroku swego życia. Lafcadio Hearn opowiada w swoim „Kokoro“ o tym, jak, będąc obecnym przy mustrze pułku japońskiego, świeżo przybyłego z placu boju, wyraził komuś z obecnych swój żal, że nie wszyscy żołnierze, którzy wyszli na wojnę, stanęli na ziemi ojczyстей do apelu. „Mylisz się pan, — brzmiała odpowiedź — wszyscy żołnierze pułku są tutaj: i ci, którzy zginęli na lądzie, i ci, którzy utonęli w wodach, słyszą swą trąbkę pułkową i stają do szeregu. Tylko nasze oczy są za słabe, by ich dojrzeć mogli“. Oto, jak wygląda konsekwencja, — wierność swej wierze. Weź teraz przeciętnego Europejczyka, wierzącego w nieśmiertelność według recepty mieszcowskiej. Czy on potrafi — z równą wiarą i bez wahań —

dać odpowiedź na pytanie, czy i gdzie jego dusza istniała poprzednio? Ani nawet jeden na dziesięć tysięcy! A co do swego życia przyszłego upewni cię, że po śmierci znajdzie się albo w bardzo przyjemnym, albo w przeraźliwie dokuczliwym miejscu, albo może — jak licująca z wiarą subtelność wahań! — w jakiejś trzeciej, pośredniej instytucji. W każdym zaś razie jego duszy przeszłość i przyszłość nie ma nic wspólnego z życiem przeszłych i przyszłych pokoleń, z czynami jego ojców, synów, najbliższych. Teraz przejdźmy do wyników praktycznych. Każdy Japończyk, słysząc o wypadkach z historii swego kraju z przed lat tysiąca, pięciuset, stu — wierzy, że to on sam żył wówczas; pracując dla przyszłości, przekonany jest, że pracuje dla siebie samego; to znaczy: utożsamia dzieje swego społeczeństwa ze swemi osobistemi dziejami i interesem. Tym sposobem jego koncepcja religijna kryje w sobie niesłychanej wartości ideę solidarności społecznej. Idźmy dalej. Żołnierz japoński, idąc do ataku, ma za towarzyszy, dzięki swej wierze, wszystkich bohaterów, którzy zginęli w dawnych bitwach, a teraz na głos komendy wstają z grobów, by walczyć; jest przekonany, że jeśli sam zginie, wspierać będzie ramię tych, co pozostali. Żołnierz biały nie ma takich towarzyszy niewidzialnych; i przekonany jest, że jeśli padnie, tym samym wycofa się raz na zawsze ze wszelkich bitew i wogóle ze wszelkiego udziału w sprawach ludzkich. Cóż dziwnego, że gdy przychodzi do starcia się dwóch ras, — przegrywa strona, po której walczą tylko żywi i tylko — dopóki żyją.

Bronisław. Mam nadzieję, że wkrótce wydasz dzieło pod tytułem „Wpływ idei nieśmiertelności na życie doczesne“.

Poczym zostaniesz mianowany honorowym proboszczem u Panien Wizytek.

Mirosław. Niestety, nie zostanę. Nie zostanę poprostu dlatego, że, o ile pisałbym podobną książkę, musiałbym dać rozdział, wykazujący, iż sama idea nieśmiertelności jest wpływem warunków życia doczesnego. Co bezwarunkowo sprowadziłoby zainteresowanie się kościoła tą książką, jednakże z cokolwiek innym rezultatem, niż przypuszczasz. Musiałbym także zaznaczyć — co się tyczy odwagi umierania — że historia daje przykłady, iż odwagę równie wielką posiadają ludzie i ludy, odrzucające nieśmiertelność. Lecz mniejsza o to. Na razie chodzi mi nie o wskazywanie przyczyn wyższości militarnej Japończyków, lecz o zaznaczenie, że w rozwijaniu swej myśli są oni konsekwentni. Zaś Europejczyk zatracił zdolność do ścisłego przeprowadzania i stosowania myśli, uznawanych za prawdziwe, bez względu na to, czy należą do zakresu metafizyki, etyki czy teologicznej dogmatyki. O równowadze i harmonii zasad z czynami nie może być mowy, póki przedewszystkiem nie wniesione zostaną hart i uczciwość w dziedzinie czysto myślowej dokładności pojęć.

Bronisław. Być może. To jest, właściwie — są to sprawy tak zawikłane, że doprawdy trudno właśnie co do nich zdobyć się na tę żadaną dokładność pojęć... O tym, że t. zw. świat cywilizowany musi pod wielu względami pójść w ślady dalekiego wschodu, jestem głęboko przekonany i z góry zgadzam się na wszelkie kombinacje, mogące nas popchnąć w tym kierunku. Lecz o tym — kiedyindziej. Teraz — przyznaję ci częściową rację. I dla

mnie nie ulega wątpliwości, że rysem zasadniczym cywilizacji współczesnej jest istnienie chaosu, więcej — całego pandemonjum w dziedzinie podstawowych pojęć moralnych. Cóż robić! Stare pojęcia przeżyły się, nie odpowiadają ani warunkom nowoczesnym, ani potrzebom umysłowości wciąż wzrastającej liczby ludzi, i dlatego muszą zniknąć — już giną. Ich miejsce zajmują nowe: stąd przenikanie się ich wzajemne, zamęt, niestałość. Lecz dostrzegam wśród tego chaosu pewne wytyczne, które, zyskując wciąż na sile, stają się — niewidzialnie dla znacznej ilości ludzi i nieraz wbrew wszelkim pozorom — ośrodkiem pojęć o celach i zadaniach życia, a tym samym podstawą wszelkiego morału.

Mirosław. Już wiem: zaczniesz wykład o socjalizmie.

Bronisław. Tym razem mylisz się. Będę mówił o czymś, co leży w podstawie zarówno socjalizmu, jak i prądów, dziś mu przeciwnych. Powiedziałem wyraźnie, że chodzi mi o pewne idee, będące ośrodkiem poglądów na cele i zadania życia. Otóż — zauważono już nieraz — iż coraz wyraźniej wysuwa się na pierwszy plan świadomości społecznej myśl po Grekach odziedziczona, że celem człowieka jest i być powinien — on sam; inaczej mówiąc, coraz silniej utrwala się przekonanie, że ostatecznym celem naszym jest życie samo, życie bujne, wszechstronne, potężne zdrowiem, myślą, czynem, radością. Ta idea o życiu, jako o wartości najwyższej, została swego czasu wyklęta jako pogańska, i przez długie czasy leżała w prochu i popiołach, przygnieciona powagą innych, jakie, miast niej, na ołtarz celów postawiono. Jednakże zdrowy instynkt

ludzkości uchronił tę ideę przed zgubą: od czasów Odrodzenia stara myśl grecka poczyną powoli wysuwać się na światło dzienne, występuje coraz śmielej i wreszcie — w ubiegłym stuleciu — opanowuje wszystkie umysły przewodnie.

Mirosław. No, na przykład?

Bronisław. Musiałeś chyba specjalnie studjować klasyczną filozofję niemiecką, jeśli nie orjentujesz się, o czym i o kim mówię. Lecz jeśli chcesz przykładów, zaraz ci służę. (*Podchodzi do półki z książkami, wyjmuje kilka i wraca z niemi na miejsce*). Więc najprzód ten, kto najwyżej podniósł hasło życia, kto mu najpiękniejszą pieśń wyśpiewał, choć jednocześnie oświecił je w swój specyficzny sposób — Nietzsche. Słuchaj (*czyta*): „Życie samo uważam za popęd do wzrostu, trwałości, gromadzenia sił, do mocy: gdzie brak woli mocy, tam jest upadek“. „Co jest dobre? — Wszystko co uczucie mocy, wolę mocy, moc samą w człowieku podnosi“. (*Następnie mówi, od czasu do czasu spoglądając w książkę, przytacza zdania oddzielne*). Więc powinnością naczelną staje się wytworzenie nowego typu ludzi: ludzi silnego życia, mocnych, władnych, pełnych tężyzny duchowej, którzy umieliby żyć jak bogi. Niech szczerze cierpienie! Niech szczerze wszystko, będące trucizną i przeczeniem życia! A przedewszystkiem niech znikną liczmany, które pod fałszywym mianem różnych cnót są wrogie życiu! I w imię życia Nietzsche wypowiada walkę wszystkiemu, co budzi instynkta, bujności życia przeciwne, wszystkim moralom, wypaczającym naturalne wartości życia: „...pokora, czystość, ubóstwo, jednym słowem, ś w i ę t o ś ć niewymownie więcej

szkody dotychczas życiu przyniosły, niż jakiekolwiek straszliwości i występki...“. Niech odtąd cnotą nazywa się to tylko, co utrwała instynkty, „które dążą do utrzymania życia i podwyższenia jego wartości“. — Nietzsche jest najbardziej wyraźnym i potężnym głosicielem tych myśli. Lecz i przed nim, w różnej formie, głoszono chwałę życiu, wskazywano je jako jedyny cel wart wysiłków; czynił to nawet przysięgły wśród filozofów pesymista, Schopenhauer. Oto jego słowa...

Mirosław (*przerywając*). Na miły Bóg, daj spokój z cytatami. Zgnębiłeś mię. Już wiem, o co ci chodzi.

Bronisław. Tym lepiej. Otóż przyznasz, że obecnie spotykamy otwarty kult życia niemal na każdym kroku, przenika on coraz głębiej, występuje coraz wyraźniej. Od-bija się to nawet na takiej szanownej nudzie jak ekonomja polityczna, gdzie stało się już komunalem twierdzenie, iż końcem, koroną i szczytem doskonałości wytwarzania jest podtrzymywane przez nie życie. A cóż dopiero gdzie-indziej! Cała filozofja nowoczesna uznaje życie za proces urzeczywistniania wartości, a więc tym samym nadaje mu wartość bezwzględną. Czy wsłuchamy się w dalekie głosy humanistów Odrodzenia, czy w dźwięczne tony pism Ruskin'a, czy w niezmiernej głębi i bolesnego nieraz szyderstwa słowa Nietzschego, czy wpatrzymy się w obrazy przyszłości społecznej, malowane przez Jaurès'a — wszędzie, z pośród złomów myśli przeróżnych, dźwięków dysharmicznych, barw różnorodnych, występuje ta sama nuta przewodnia — gloryfikacja życia. Życie potężne, władcze, intensywne staje się celem, stawianym jednoznacznie przez wszystkich duchowych przewodników człowieka. Dawny

ideał grecki zmartwychwstał w całej swej krasie, zdobny nowym doświadczeniem, upiękuszony wszystkimi zasobami myśli nowoczesnej: wyobrażenia poetów w coraz bardziej pociągające stroi go szaty; padają przed nim na twarz tłumy, poczynają korzyć się królowie; artyści wnoszą mu ołtarze i szukają nowych świętych.

Mirosław. Proszę cię, daj spokój. Pamiętaj, że nie mogę znosić wysokich pięt — dostaję zawrotu głowy. Wracaj na ziemię.

Bronisław. Wracam. Otóż nie ulega wątpliwości, że świadomość tego ideału stale wzrasta i będzie wzrastała, aż stanie się poglądem codziennym, utartym, uznanym oficjalnie *urbi et orbi*. A to znaczy, że tym samym powoli będzie zanikać ta gmatwanina pojęciowa, w jakiej dziś żyjemy. Bo wypływa ona z przeciwstawności, istniejącej pomiędzy faktami naszego życia a formułami, jakie uważane są za moralność rzekomo obowiązującą. Jaki jest dziś, że tak powiem status legalny doktryn, opartych na myśli o rozwijaniu potęgi życia jako o naszym celu najwyższym? Poprostu — nie mają go one wcale: uzyskując powoli prawo obywatelstwa siłą faktu, nie uzyskały jeszcze ani powszechnej, ani częściowej, lecz wyraźnej, sankcji oficjalnej. Nie są, w żadnej dziedzinie, przeprowadzone choćby jako pewna ideologia konsekwentna, mająca być wskaźnikiem i miarą czynów; cały ich system — choć jego fragmenty spotykamy na każdym kroku — nie jest wykończony, a znajduje się dopiero w powolnym stadium tworzenia się. Lecz jakże dalekim jeszcze jest on od przejawiania się w całokształcie realnych stosunków! Ogromna większość instytucji, z jakimi mamy do czynienia, liczy

swe istnienie setkami lat, i tym samym przedstawia wytwór wysiłków, które kierowały się morałem zupełnie innym, pod wieloma względami sprzecznym z tym, jaki dziś poczyną panować; więc ilekroć dotkniemy się do nich — cofamy się w inny świat; nawet gdy je przetwarzać próbujemy tak, by służyły naszej wierze obecnej — ich materia okazuje się silniejszą od ducha, jaki w nią tchnąć chcemy, i w rezultacie kompromis wypada na naszą niekorzyść. Tak wygląda — w najlepszej swej formie — rozdwojenie pomiędzy myślą a czynem pokoleń dzisiejszych. Oto ukryte, najgłębsze źródło dzisiejszego zamętu ideowego.

Lecz to nie wszystko. Przeciwiężstwa potęgują się jeszcze wskutek tego, że brak ludziom odwagi, by sobie ten stan rzeczy zupełnie szczerze uświadomić. Wszyscy, ba, nawet sami przeciwnicy zawodowi morału nowoczesnego, oddawna — z małemi dywersjami — o ile to się tyczy ich samych, postępują w taki sposób, jakby go za swą gwiazdę przewodnią uznawali; jednakże brak im odwagi cywilnej, aby się do tego przyznać. Więć, żyjąc *de facto* w atmosferze, w której przeważają nakazy, oparte na idei o najwyższej wartości życia, jednocześnie twierdzą, że postępowanie ich całkowicie wspiera się na podstawie najzupełniej odmiennej. I to kłamstwo nałogowe w rezultacie nie pozwala im ani dobrze żyć, ani konsekwentnie myśleć. Oto masz poboczne źródło dzisiejszego zamętu pojęciowego, panującego wszędzie, którego nasz chaos jest tylko odmianą, wyrosłą na gruncie przeoranym pługiem nieszczęść politycznych. Cóż robić, kiedy dziś ludzie nie chcą być szczerzy nawet przed samemi sobą.

Mirosław. Czy myślisz, że w przyszłości staną się szersi?

Bronisław. Czy staną się wszyscy — nie wiem. Wiem tylko, że muszą stać się takimi ci, którzy w walce o wyższy typ życia pragną zwyciężyć.

*Idea życia
zapracowana
w faktach*

II.

O tym, jak śmierć służy ku przedłużeniu życia.

Bronisław. Nie dałeś mi wczoraj dojść do słowa. Zresztą, daruję ci to, gdyż uznaję słuszość twojej głównej myśli. Jednakże przyznam się, że mam pewne wątpliwości nietyle co do samego morału nowoczesnego, ile co do słuszości najczęściej spotykanego sposobu tłumaczenia go. I mam nadzieję, że pod tym względem, o ile może nie będę zgadzał się z tobą, ty zgodzisz się ze mną.

Mirosław. Podejrzewam zamaskowany atak na pozycję, której atakowania wyrzekasz się. Pamiętaj, właśnie dlatego, że napadać będziesz ukrycie — przegrasz.

Bronisław. Nie mam zamiaru ani atakować, ani, tymbardziej, przegrywać.

Mirosław. Przypuśćmy jednak na chwilę, że jest inaczej. To, zdaje mi się, uprości nam dyskusję. Z góry wiem, jakie argumenty można wytoczyć przeciw nowoczesnym poglądom na cele, jakie człowiek powinien sobie stawiać; i jestem najpewniejszy, że ludzie dzisiejsi są zabezpieczeni doskonale przed wszelkimi pociskami, jakie mogłyby naruszyć siłę ich instynktów życiowych. Pogląd, widzący cel życia w doskonaleniu się przez cierpienie i samoudręczenia, nigdy już nie odzyska swej władzy nad

wyobraźnią. Dla dziesiątego stulecia, w chwili spełnienia się lat tysiąca oczekującego sądu ostatecznego i końca świata, który miał przynieść większości ludzi katusze niesłychane, nadziemskie, niewysłowione, — dla dziesiątego stulecia, powiadam, cierpienia doczesne przedstawiały się jako okup, pozwalający uniknąć większych mąk w przyszłości. Pogląd, wyrosły na tle tych wierzeń, a opierający się na instynktach niezdrowych, tych samych, które wydały biczowanie i samokaleczenie, głosił, jakoby cierpienie samo przez się było cenne, i tym sposobem wyniósł je na piedestał jednej z wartości życiowych. Dziś wiemy, że cierpienie samo przez się nie ma żadnej ceny, nic nie odkupuje, nic nie przynosi; jest ono (pomijam jego znaczenie psychologiczne jako kontrastu) ostrzeżeniem o niebezpieczeństwie grożącym życiu, a nieraz — akompanjamentem nieuniknionym wysiłku, który jedynie jest cenny i pożyteczny; wobec tego, z piedestału wartości zostało ono bezpowrotnie strącone. Jest tylko jeden kraj — zauważył to Oscar Wilde — gdzie kult cierpienia znajduje do dziś dnia czcicieli: Rosja. W warunkach bytu rosyjskiego nie cierpieć może ten tylko, czyja dusza śpi. Dostojewski i jego bohaterowie — będący, niestety, prototypem zbyt wielu Rosjan dziś żyjących, — mają duszę, chcą ją mieć: oto dlaczego nie chcą wyzbyć się cierpień. Życie rosyjskie otoczone jest dokoła takim murem cierpień, przeniknięte takim ogromem bólu, że wyjście poza jego obręb wydaje się wielu utalentowanym i myślącym ludziom nieledwie jakimś złamaniem solidarności społecznej. Ulegając więc atmosferze panującej, biorą f a k t — cierpienie, i stawiają go na miejsce ideału. Lecz sam tak utworzony ideał jest

skrytym przyznaniem się do braku sił, potrzebnych do wyrównania przepaści pomiędzy rzeczywistością, a dążeniami dalej w przestwór życia idącymi. W Rosji miałeś dawniej męczeńskie zaparcia się siebie, pragnienie poświęceń, szereg bohaterstw, wynikających nietylę z dążenia do potęgi życia, ile z pełnego pokory poczucia winy przed ludem. A ostatnio, ci nawet, co w imię siły walczyli, ci nawet wierzą raczej w odkupienie przez ofiary, nie zaś w wywalczenie sobie i innym pełnego życia bez względu na ofiary. — Lecz poza Rosją, we wszystkich krajach cywilizowanych, kult cierpienia należy do przeszłości. Choćbyś więc dowiódł jak na dłoni, że morał o najwyższej wartości pełnego mocy i radości życia nie jest godzien uwagi, nie znajdziesz zwolenników: sam pozostaniesz.

Bronisław. Powtarzam, nie myślę jego wartości podawać w wątpliwość. Chodzi mi jedynie o pewne braki i niedomówienia, spotykane przy jego tłumaczeniu, oraz brak określonego związku z pewnymi innymi faktami bytu.

Mirosław. Chcesz, jednym słowem, wskazać, że życie rozumiane jest często jako użycie, by następnie dowieść całej niewłaściwości podobnej interpretacji.

Bronisław. Podobne zadanie pozostawiam kaznodziejom wielkopostnym jako temat na rekolekcje, amatorom-ascetom obydwu płci, oraz wszystkim przesyconym nietylę życiem, ile swą własną jednostronnością. Sam będę mówił o czym innym. Niektórzy morału nowoczesnego głosiciele skłonni są zapominać, iż wiele z tego, co mamy cennego, powstało drogą walk, pochłaniających tysiące istnień ludzkich, że, o ile podobne wartości mamy otrzymywać nadal, pozostaje nam tylko ta sama wypróbowana

droga; powiadam, istnieje tendencja, by o tym wszystkim zapominać. Dalej, zapomniano dziś niemal zupełnie o słowach Emersona, które każdy nauczyciel winien mieć za szczęście wyklądać swym uczniom: „Najgorszą stroną miłości bliźniego jest to, że życia, których nam każą strzec, nie są warte zachowania“. — Dalej, przeocza się stale, że nie umie ten żyć, kto nie umie umrzeć; zapomina się, że życie wówczas osiąga wartość najwyższą, gdyśmy gotowi płacić za nie śmiercią; że przeto wartość życia określa się ostatecznie naszym stosunkiem do śmierci.

Mirosław. To gorsze niż kult cierpienia: wywołujesz widma grobów. Ta wiara również nie będzie miała adeptów.

Bronisław. Nie o adeptów mi chodzi. Nie mam zamiaru głosić żadnego powiniem. Chcę tylko unaocznici ci to, co już istnieje. Ocena wartości życia miarą śmierci jest bardziej stała i powszechna, niż jakakolwiek inna. Używana była od wieków, stosowana jest dzisiaj, i prawdopodobnie pozostanie, dopóki wogóle człowiek będzie istniał. Chcę ci wskazać sprawdziany wartości stale używane nieświadomie lub na pół świadomie. Chcę oczy twe otworzyć na kontury, jakich teraz, patrząc się, nie widzisz.

Mirosław. Jestem tak pewny swej zdolności widzenia rzeczy jakimi są, że mi żadnych nowych kształtów nie odkryjesz. Łudzisz siebie, i zdaje ci się, że będziesz mógł ludzi innych.

Bronisław. A jednak... Wiesz co, nim przejdziemy do samego zagadnienia, opowiem ci rozmowę, jaką miałem niegdyś z pewną moją znajomą. Może ci ta rozmowa

uprzytomni, jak ja jeden z poruszonych problematów pojmuję. Otóż chodziło o zdecydowanie się na pewien krok stanowczy: spotkaliśmy się, by ostatecznie sprawę załatwić. Mówiła mi: „Sprzeczności, z jakimi się targam, a jakich rozciąć nie mogę, doprowadziły mnie do myśli o samobójstwie: z taką lubością patrzę na fale rzeki, marząc, jakbym wygodnie w nich spoczęła; tak słodko byłoby mi zasnąć w głębinie i przestać myśleć, przestać czuć to wszystko, co teraz czuję; oto widzisz, jak jestem strasznie, jak ogromnie nieszczęśliwa“. Odrzekłem: „Powiem ci prawdę: poprostu nie masz chęci i mocy podjęcia wysiłku, który rozstrzygnąłby tak lub nie, — i dlatego marzysz o śmierci; nie sprzeczności, z jakimi się targasz, lecz brak woli ku podjęciu jakiegokolwiek wysiłku decydującego jest twoim jedynym nieszczęściem prawdziwym. Tacy jak ty, czy powinni umrzeć, — nie wiem; wiem, że nigdy nie mają siły umrzeć; i przeto nie powinni wcale rodzić się“.

Mirosław. Tyś to powiedział! — kobiecie!? Ależ to był więcej niż cynizm.

Bronisław. Mniejsza, czym to powiedział, czy tylko powinienem był powiedzieć. W każdym razie ów „więcej niż cynizm“ był pieśnią pożegnalną mej iluzji: poprzednio myślałem, że mam do czynienia z kimś, kto potrafi nie marzyć o ucieczce w objęcia śmierci, lecz gardzić śmiercią; a przekonałem się, że się mylił. Otóż i masz forpocztę moich zarzutów, o jakie mi chodzi. Oto masz pierwszą z trzech grup, na jakie dzielę ludzi: grupa ludzi, którzy sami nigdy nie mają siły umrzeć. Jest to grupa najliczniejsza, lecz — dla mnie przynajmniej — najmniej

ciekawa. Należą do niej tysiące z pośród wszystkich sfer i klas społecznych, poczynawszy od znajdujących się — jak moja znajoma — niedaleko od progu siły duchowej, poprzez długie szeregi stopniowań aż do takich, którzy jeśli istnieją, to dlatego tylko, że nie mają dość szacunku dla siebie samych: gdyby go mieli, albo zmieniliby sposób życia, albo natychmiast wycofali się z tego świata. Imię tej grupy, obejmującej te różne poddziały — ludzi większość. Śmierć jest dla nich złem koniecznym, którego boją się, unikają za wszelką cenę, które pragnęliby wykreślić z faktów rzeczywistości, a tymczasem — choć ze swej pamięci; nie mają oni zwykle żadnych celów poza życiem indywidualnym, doczesnym w całym znaczeniu tego słowa, a jeśli czasem mają — to przez myśl im nie przejdzie, iż mogłaby je osiągnąć za cenę swego życia; ich dolne szeregi, — ci to są prawdziwi czciciele wulgarnej filozofii życia: mają wolę żyć, bez względu na to, jak żyją. Gdy patrzysz na tłumy, w taki sposób wegietujące, obce wszelkiej myśli oddania swego życia dla jego poprawy, — czyż nie powtórzysz: ich życia nie są warte zachowania — ?

M i r o s ł a w. W tym ograniczonym sensie, — powtórzę. Lecz nie nadto.

B r o n i s ł a w. Przejdźmy teraz do drugiej grupy ludzi. Są to ci, którzy wartość życia określają miarą śmierci, lecz określają w sposób negatywny. Ci przyzywają śmierć jako wybawicielkę: wołają śmierć, często samobójczą, niż swe życie marne, pełne cierpień lub nędzy moralnej; nie mają w życiu nic cennego, za co pragnęliby walczyć, lub są walką zmęczeni; śmierć jest dla nich ucieczką ostateczną, złem mniejszym, niż zło ich istnienia. Lecz w każ-

dym razie są to ludzie, posiadający swą wartość: śmiercią swą dowodzą, że mają odwagę przekroczyć Styks o własnej sile. — Wreszcie grupa ostatnia — właściwie mówiąc, pod każdym względem pierwsza — ci, co przyzywają śmierć za sojusznika. To ludzie, którzy, pragnąc żyć według swej woli, mówią: albo żyć będę, jak chcę, albo — wcale. W nich myśl o śmierci jest ostrogą bujniejszego życia; ziemią rodzajną, w której tkwią życia korzenie. Istnienie przedstawia dla nich sens o tyle tylko, o ile posiedzą coś takiego, za co w każdej chwili mogliby umrzeć. Jest to grupa, pozytywnie określająca wartość życia miernikiem śmierci. I w tej grupie, jak w dwóch poprzednich, jest szereg przejść i stopniowań. Jedni gotowi ginąć za klejnoty, inni — za władzę, inni — za swe dzieci. Najsilniejsi ludzie tego typu, gdy im mało realnych przedmiotów przywiązania, stwarzają sobie różne złudy, jak wola boża, honor, ojczyzna, i — giną za nie; ci są solą ziemi: giną, lecz przez majestat swej śmierci narzucają te złudy innym, jako morał heteronomiczny. Nie łudźmy się! Ludzie, którzy przed tym morałem biją pokłony, korzą się przed wolą, która nie wahała się śmierć wezwać na sojusznika. Budda i Chrystus, Sokrates i Giordano Bruno, Cezar i Napoleon, — wszyscy, których życiu przypisujemy najwyższą wartość bezwzględną, gotowi byli zginąć dla swych celów nie raz jeden, lecz ginąć co dzień; w ciągu całego swego istnienia bytowali wciąż na krawędzi pomiędzy życiem a śmiercią. I dlatego mówimy o nich: ludzie-bogi, i wsłuchujemy się w ich słowa... — — —

M i r o s ł a w. — — — W tym, co mówisz, tkwi skrycie odstępstwo od jednej z najwyższych zasad czasów nowo-

żytnych, — od uznania wartości bezwzględnej każdego życia indywidualnego. Lecz drugi mój zarzut będzie jeszcze poważniejszy. Gdyby tak było istotnie, jak twierdzisz, ciągle apelowanie do śmierci zawierałoby w sobie niebezpieczeństwo dla najdzielniejszych jednostek. Dalej, takie ciągle uprzytomnianie sobie śmierci, przez osławianie ludzi z myślą o niej, musiałoby spowodować zwiększenie się czysto ilościowe wypadków śmierci wogóle, i w rezultacie ostatecznym, — zanik społeczeństwa, które przyjąłoby podobne mierniki ocen.

Bronisław. Mylisz się. Rzecz ma się akurat naodwrot. To tylko nierozumny strach przed śmiercią — a właściwie przed następstwami śmierci — szkodliwy jest dla spraw życia; lecz myśl o śmierci stanowi jedno ze źródeł, z których bije życie. Weź sprawy zwykłe, codzienne, banalne, i zobacz, jak na ich bieg wpływa nasza myśl o śmierci: — tylko dodatnio: każe nam potęgować starania, rozwija zapobiegliwość. Ty sam kiedyś zwierzałeś mi się, pod wpływem jakiej myśli, no! — poprostu ożeniłeś się: wówczas gdyś doszedł do przekonania, iż absolutnym jest dla ciebie niepodobieństwem żyć nadal samemu, i że zginiesz, jeśli nie dopniesz swego. A co kiedyś mówiła pani Marja z powodu choroby swego syna? — pamiętam dokładnie jej słowa: „wkładałam wszystkie swe siły w opiekę nad nim, gdyż byłam pewna, iż nie przeżyłabym jego śmierci“. Nie chcę zastanawiać się, czy istotnie nie przeżylibyście ewentualnych ciosów, gdyby was spotkały, — mniejsza o to; zadawałam się faktem, że i w jednym i w drugim wypadku myśl o alternatywie śmierci była potężnym impulsem starań, mających na celu

zachowanie i przedłużenie życia. Oto masz zawilóść dróg, jakimi życie kroczy. Przejdź teraz do spraw społecznych. Obawa przed możliwością zgniecenia danego kraju przez obce państwa, a więc obawa przed jego śmiercią polityczną, skłania rządy do rozwijania starań o zwiększenie przyrostu ludności, ba, jest w znacznym stopniu odpowiedzialna za pojawienie się ochronnego prawodawstwa fabrycznego, mającego na celu spotęgowanie dzielności fizycznej mas ludności. Tak to różnemi sposoby, myśl o śmierci jest środkiem ku utrwaleniu życia. Prawda, bardzo często dotychczas, a w dalszej przeszłości — stale, myśl o śmierci była zielskiem, głuszającym piękno życia. Lecz to wypływało z błędnych pojęć o istocie śmierci: uważano ją za uniwersalnie najstraszliwszą rzecz na ziemi: śmierć — to był wyłącznie strach, groza, rozpacz. A tego rodzaju strach przed śmiercią, — to zupełnie co innego i w treści i w skutkach. Kierunek dla spraw życia najszkodliwszy: idea przygotowania się do życia przyszłego przez cierpienie systematyczne, — wyrosła na gruncie fałszywego wyobrażenia o formach istnienia pośmiertnego. Wyobraźnia średniowieczna mnichów, malarzy i poetów stworzyła pełen grozy obraz bytu zagrobowego i, wcieliwszy śmierć w kształt ohydny, otuliła ciemną szatą przeobrażenia. Niezdrowe marzenia! Spytaj lekarzy, którzy widzieli tysiące śmierci; spytaj siostr miłosierdzia, na których rękę dziesiątkami konali żołnierze na polach bitew; spytaj ich, jak śmierć wygląda. Odpowiedzą ci, że jako ukojenie ciał poszarpanych cierpieniem, jako słodka piastunka, na której rękę człowiek znajduje długo oczekiwany spokój i wytchnienie. Czegóż więc bać się mamy?

Przeciwnie, raczej należy jej ufać. W pewnych wypadkach jest ona naszą przyjaciółką najlepszą, trzeba tylko wiedzieć, kto i jak za życia może z jej łask korzystać. Otóż mogą korzystać — tylko odważni. W walce życiowej ten zwycięża, kto wszystko postawił na szalę i ma hart dostateczny, by wezwać pomocy śmierci: którzy się przed tym przymierzem cofają, z góry skazują się na przegraną, a tym samym akceptują nie życie, lecz wegietację. Tak więc, odwaga spotkania śmierci przyczynia się do spotęgowania i uszlachetnienia naszego życia. I tyczy się to zarówno stosunku zachodzącego pomiędzy jednostką a problematem jej indywidualnej śmierci, jak i spraw życia zbiorowego.

Lecz idźmy dalej. Ponieważ teraz będę mówił o stosunku pomiędzy celami społecznymi a sprawami, często przybierającymi formę masowej śmierci innych ludzi, więc przedewszystkim wskażę na różnicę, istniejącą dziś w stosunku opinii publicznej względem ludzi odpowiedzialnych za śmierć cudzą: mianowicie, zabijanie jest przestępstwem wówczas tylko, gdy niszczyć życie, nie wzamian nie tworzy; nie jest przestępstwem, gdy niweczyć ludzi tworzy naród, potęguje siłę kraju, wzmacnia więzy społeczne...

Mirosław (*pełen oburzenia*). Nadużywasz mej cierpliwości! Nawet twe paradoksy powinny mieć jakąś granicę!... Nie wolno przypisywać komukolwiek, tymbardziej bezosobowej opinii publicznej, poglądów, jakich nie głosi!

Bronisław. Że opinia takich zasad nie głosi, — masz rację. Co nie przeszkadza, że i ja mam rację, mówiąc, że opinia takie zasady wyznaje. Mój drogi, pamiętaj, że ludzie mają język poto, aby tym lepiej mogli ukrywać swe

myśli. Zastanów się chwilkę nad stosunkiem opinii kraju cywilizowanego na przykład względem ministra, który w uniesieniu zabił swego sługę, i względem tegoż ministra, gdy, na swą odpowiedzialność wydając wojnę, jednym zamachem bierze na swe sumienie śmierć tysięcy ludzi; w pierwszym wypadku, — pójdzie do kryminału; w drugim, — o ile wojna cieszy się popularnością, nikomu na myśl nie przyjdzie pociągać go do odpowiedzialności, przeciwnie, chwalić będą jego stanowczość. Sam przypomnisz dziesiątki wypadków podobnych! A kara śmierci, istniejąca w wielu demokracjach politycznych? — czym jest, jeśli nie zezwoleniem, dawanym przez większość, na zabijanie ludzi uznanych za szczególnie szkodliwych? Widzisz więc, że mam rację, mówiąc, iż społeczeństwo nie uznaje za przestępstwo zabójstw, mających korzyść społeczną na celu, o ile ta korzyść inną drogą nie może być osiągnięta. Jest to jedna z tych zasad, według których wszyscy mają odwagę postępować, — nie mają tylko odwagi o niej mówić. Na tym, jak wiesz, polega konsekwencja człowieka nowoczesnego.

Mirosław (*z resztką irytacji w głosie*). Słyszałem już o tym.

Bronisław. Aleś tego nie zapamiętał. Otóż, o ile chodzi o życie zbiorowe, to w każdym społeczeństwie od czasu do czasu przychodzi moment taki, — w języku popularnym zwie się on: wojna, — iż koniecznym jest poświęcić część ludzi dla ocalenia reszty. Gdy w takiej chwili ta część, która zginąć powinna, cofnie się przed śmiercią, — całość zginie lub zmarnieje. Im więcej w danym społeczeństwie znajduje się ludzi, gotowych na

śmierć za interesy całości, tym jest trwalsze samo społeczeństwo; im więcej takich ludzi w danej klasie społecznej, tym pewniejsze jej panowanie. Więc i w życiu zbiorowym odwaga umierania jest najlepszą gwarancją życia. Jeżeli bez uprzedzeń spojrzysz na warunki istnienia każdego kraju, dostrzeżesz, że ich byt teraźniejszy określony został w przeszłości przez stosunek, jaki istniał pomiędzy wolą dawnych pokoleń i problematem ich śmierci; gdyby w osiemnastym stuleciu tysiące Francuzów nie chciało złożyć swego życia w walce z koalicją, grożącą rewolucyjnemu rządowi, — Francja przestałaby istnieć; gdyby chłop rosyjski nie zechciał ginąć w zapasach z armją Napoleona, — zamiast Rosji miałbyś jakieś wschodnie pobeżeże rozciągającego się na całą Europę kolosalnego imperjum Franków. I to samo prawo rozwoju, obowiązujące w przeszłości, występować będzie również i w przyszłości: z tego wynika, że bywają chwile, gdy losy przyszłe kraju, a więc — nasze życie przyszłe, zależy w zupełności od tego, jaką śmiercią pomrzemy... — Brzmi ci to zanadto zgodnie z wersetami Pisma świętego, — nieprawdaż? Cóż robić, — nie pierwszy to raz zdarza się, iż to, co było głoszone jako prawda religijna, okazuje się niemal dosłownie prawdą socjologiczną...

Lecz jeszcze jedno. Momenty dziejowe, wymagające ofiar z życia, są najlepszą próbą wartości jednostek. Te, które są indywidualnościami w istocie, — zaufają śmierci i wezwą ją na pomoc; ginąc sami, zachowają życie ludu, który ich wydał. I powiadam: — tylko życie takich ludzi posiada wartość bezwzględną. Dla innych, — zasada wartości każdego życia indywidualnego często staje się tarczą,

którą osłaniają się, by nie spostrzeżono, że ich życia nie są godne zachowania. I o ile dziś jeszcze w wielu wypadkach zasada indywidualizmu, o której mówimy, jest niedoceniana i przestrzegana niedostatecznie, to istnieje drugie, może równie poważne niebezpieczeństwo: jej przeceńnianie. — — —

M i r o s ł a w (*po chwili*). No, chyba przyznasz, że o tym ostatnim niebezpieczeństwie można mówić wszędzie, tylko nie u nas!

B r o n i s ł a w. Właśnie, że w Polsce przedewszystkim! Czym jest ów humanitaryzm, który ustami różnych naszych historyków każe nam szczyścić się, iż byliśmy zawsze narodem miłującym pokój nad wojnę, — czym jest, pytam się, jak nie indywidualistyczną zasadą o bezwzględnej wartości każdego życia, przybraną w szaty altruizmu? Ten fałszywy humanitaryzm zaciemnia podstawową prawdę historyczną, że ci, którzy pokój miłują, jeszcze prędzej idą pod miecz, niż ci, którzy miłują wojnę. Prawdą jest bezwarunkowo, że miłowaliśmy pokój więcej niż inne narody. Lecz marny to tytuł do sławy! Bo jaki jest ostateczny rezultat tej pokojowości? Czy zmniejszenie, choćby ilościowe, ofiar, jakie naród nasz składa na ołtarzu wojny? — Bynajmniej! Ofiary są, tylko składane nie w naszym imieniu, a w cudzym; a ich ilością rozporządza się nie jeden, lecz trzech kapłanów. Nie mieliśmy woli umierać swego czasu za swoją sprawę, musimy teraz tysiącami ginąć za sprawy cudze. I ginemy: pod Sadową, na wzgórzach Gravelotte, w nurtach Jalu... Oto realny, historyczny rezultat naszego źle pojętego indywidualizmu, naszej pokojowości, na-

szego wstrętu do gwałtownego niszczenia życia. Istotnie, piękny humanitaryzm!

M i r o s ł a w. Podług ciebie humanitarnym jest ten, kto tak się rządzi, że nigdy nie brak mu ludzi do prowadzenia wojny. Czy uważasz, że taki humanitaryzm trzeba dziś u nas szczepić?

B r o n i s ł a w. Nie chcę mówić o tym, co trzeba. Stwierdzam tylko, że ten rzekomy nasz polski humanitaryzm, to była właściwie niechęć jednostek przed indywidualną śmiercią, niechęć, która w rezultacie spowodowała naszą śmierć jako państwa, i w dalszym rezultacie spowodowała, że dziś od wojny ginie nas daleko więcej, niż ginęłoby, gdybyśmy byli tacy, jako są inni. Cała nasza teraźniejszość została określona przez stosunek, jaki istniał pomiędzy wolą dawnych pokoleń a problematem ich śmierci: gdyby one miały wolę umierać i śmierć zadawać, — my żylibyśmy dzisiaj.

III.

Niesprzeciwianie się złu.

Bronisław. Mówisz, że wszelka krzywda nie przestaje być krzywdą przez to, że nie wywołuje protestu ani nawet choćby jęku stłumionego ze strony pokrzywdzonej. Dajesz przykłady ludzi, którzy całe lata cierpieli, milcząc. Podobne wypadki, bez wątpienia, spotykamy na każdym kroku; nie tylko powieść, lecz historia pełna jest takich przykładów. Wraz z tobą gotów jestem wielu z pośród tak cierpiących uznać za bohaterów. Co jednak nie przeszkadza, bym wszelkie wypadki podobne uważał za wyjątki, potwierdzające tylko moje prawo ogólne, że niema krzywdy i niesprawiedliwości tam, gdzie niema natychmiastowego i bezwzględniego protestu.

Mirosław. Wczoraj moja żona dowiedziała się o moim stosunku do panny Iny. Nie powiedziała mi nic i, jestem pewny, nie powie nic do końca życia, nie zrobi żadnego kroku, aby stosunek nasz przeciąć. Czy myślisz, że przez to mniej cierpi?

Bronisław. Nie cierpi mniej, lecz też nie cierpi więcej, niż wogóle cierpieć może. Ten spokój pozorny, to właściwa jej forma reagowania. Gdyby zdobyła się na odwagę wydać ci wojnę — czy w starciach domowych jej ból za-

głuszyłby się lepiej i prędzej, niż dziś utulić się może w łzach, przelewanych ukradkiem i w ciszy nocy bezsen-nych? Tak jak dziś sprawy stoją, pozostaje jej jedno tylko, — cierpieć. Co do tej kwestji, niema dla niej żadnego wyboru; natomiast pozostaje wybór co do formy zewnętrznej cierpienia: może cierpieć albo milcząc, albo przetwarzając ci dom w czyściec doczesny. Wybrała pierwsze. I to wszystko. Dalej — czy nie przypuszczasz, że w głębi tej może nawet nieświadomie obranej formy kryje się wyrachowanie...

Mirosław. Wyrachowanie i moja żona! Doprawdy...

Bronisław. Nie przerywaj. Za dobrze znam twą żonę, bym ją miał posądzać o przewrotność; pomimo to powtarzam: w głębi tej nieświadomie obranej — twierdzę to — formy cierpienia kryje się wyrachowanie. Wyrachowanie instyktowne, jakie posiada każdy organizm, a polegające na tym, że znalazzszy się w warunkach groźnych dla jego egzystencji, przystosowuje się do nich pozornie, wykonywując jednocześnie pewne czynności, mogące go wyprowadzić z niebezpieczeństwa. Twoja żona czuje, że po utracie przywileju wyłącznego posiadania cię, grozi jej coś jeszcze gorszego: utrata ciebie zupełna. Zagrożony instynkt podpowiada jej, jaki, w danych warunkach, jest najlepszy sposób uniknięcia nowego niebezpieczeństwa: więc łamie się w ciszy sama ze sobą, ponieważ milczenie jest w tym wypadku najlepszą drogą, prowadzącą do celu. Nie wiem, czy twoja żona swój cel osiągnie, w każdym razie jednak zachowuje tym sposobem jedyne, jakie wogóle w swym położeniu mieć może, szanse wygranej. I słusznie! Bo przecież, gdybyś codzień, w dodatku do zwykłej porcji

kawy, dostawał drugą — wymówek, to poprostu uciekłybyś z domu jeszcze prędzej, niż swego czasu uciekłeś od swej pierwszej narzeczonej! Jednym słowem, tutaj cierpienie w cichości ducha jest uzasadnione i celowe, podobnie jak i w tych wszystkich wypadkach, gdzie oprócz nieporozumień zachodzi stosunek oparty na pewnym uczuciu dodatnim, lub gdy pojawienie się z czasem takiego uczucia można wogóle przypuszczać. Gdzie zaś takich uczuć osobistych niema, i gdzie zachodzą stosunki pomiędzy całymi grupami ludzi obcych, tam, o ile po pewnym czynie bolesnym dla jednej ze stron, nie następuje protest bezpośredni i natychmiastowy, — tam niema świadomości krzywdy; — a w ostateczności, jeśli nawet jest, to w tak słabym stopniu, że mówić o niej nie warto.

Mirosław. Dobrze, lecz w takim razie mam nadzieję, że powiesz, stosując swą teorię do wypadków konkretnych: niema żadnej krzywdy i wyzysku w przedsiębiorstwach Towarzystwa Powszechnego, — tam przecie robotnicy nigdy dotychczas nie protestowali; gdy na ćwiczeniach wojskowych feldfebel kaleczy sobie rękę o twarz żołnierzy, a ci nawet nie skarżą się, powiesz: niemasz tu niesprawiedliwości. Ba, chcąc być logicznym, twierdzić musisz, że nie popełniano żadnego gwałtu, gdy nam kraj rozbierano! — zajrzyj do historii: wszak wówczas nikt nie protestował: na ulicach stolicy panowała cisza uroczysta, wieś witała nowych władców chlebem a solą; nie było protestu, nie było więc — podług ciebie — krzywdy i zbrodni. Oto do jakich wniosków doprowadzi cię twa teoria. Winszuję!

Bronisław. Wyobraź sobie, ja właśnie tak myślę. Słyszysz — mówię to zupełnie na serjo. Nie rób gies-

tów! — masz ruchy bardzo ładne, wiem o tym. Lecz żadne piękno nie może nic powiedzieć ani za, ani przeciw wartości jakiegokolwiek myśli — pamiętaj o tym. Twe powin-szowanie przyjmuję. I jestem pewien, że powtórzysz je raz jeszcze, w skrusze i upokorzeniu, odejmując żądło szyder-stwa.

Mirosław. Widzę, że chcesz robić próbę, o ile wo-góle jakiegokolwiek argumenty fantastyczne, z twych ust płynące, są w stanie mnie zasugiestjonować. Ostrzegam, wybrałeś złe medjum.

Bronisław. Przeciwnie, wybrałem najlepsze. W cza-sach obecnych, gdy zwyczaj myślenia logicznego popadł w pogardę powszechną, jesteś jednym z niewielu, którzy — chwilami — są na tym punkcie dość konserwatywni.

Mirosław. Jak i na wielu innych punktach, co właś-nie...

Bronisław. Co właśnie pomimo twej logiczności sprawia, iż, pomiędzy innemi, nie przestajesz wraz z konserwatywną filozofją myśleć, jakoby rzeczywistość inna była, niż ją spostrzegasz, nie przestajesz mówić o „kłam-liwych formach, w jakich świat przedstawia się naszym zmysłom, a jakie w rzeczywistości nie istnieją“. Nonsens. Odrzuć ten archaiczny pogląd! Zauważ — z pochodzenia swego jest on odroślą jednej z najpierwotniejszych idei, która tyle i tak długo bruździła, — idei słabości ducha ludzkiego. To nic innego, jak właśnie myśl o niepoznawalności świata rzeczywistego skompromitowała tak grun-townie tamten czcigodny zwyczaj starodawny. Odrzuć ją! — i wówczas dopiero będziesz zbierał owoce swej wyjąt-kowości. Dopóki tego nie uczynisz, — zawsze, razem z twą

logiką, będziesz poza temi, którzy jej nie uznają. Miej odwagę patrzeć na fakty i na nich opierać swe poglądy ogólne, — wówczas twoja logika będzie górą. Dopóki zaś starasz się dopasowywać fakty do teorii, wziętych z poza doświadczenia, i będziesz to robił konsekwentnie, to, właśnie dlatego, zginąłeś: zjedzą cię ci, którzy, śmiejąc się z wszelkiej konsekwencji, bojąc się wszelkich teorii gorzej niż ognia, instynktownie kierują się głosem faktów. Otóż ty, z ewentualną poprawką doświadczenia, przedstawiałbyś medjum idealne. Lecz dziś samo przypuszczenie istnienia takich medjów jest fikcją: gdyby się pojawiły, zaczęłoby je odrazu topić. Bez poprawki doświadczenia, — jesteś najlepszym ze wszystkich złych medjów dziś istniejących.

Mirosław. Wspaniałomyślność iście Habdankowa! Pozwól sobie jednak powiedzieć, że perły mądrości, jakie do moich skarbów pragniesz dorzucić, uważam za fałszywe.

Bronisław. Możesz ich nie przyjąć, jeśli ci się nie spodoba; uważam jednak za właściwe, byś zdawał sobie sprawę, że odrzucasz najprawdziwsze. Musisz więc wysłuchać mię do końca. Uzbrój się w cierpliwość, odpowiednią ilość panowania nad sobą i pół tuzina innych cnót, potrzebnych każdemu, kto dąży do przywrócenia swej zachwianej zdolności sądenia: skupienie ducha też jest pomiędzy niemi. — — Niepodoba ci się ten wstęp, uważasz, że trąci katechizmem? Pociesz się, — zakończenie będzie trącić czymś jeszcze pierwotniejszym.

Uważasz, że to, co mówię o ścisłym związku pomiędzy wszelkiego rodzaju krzywdą a natychmiastowym przeciw

niej protestem, związku polegającym na tym, że wszelki fakt protestu jest dowodem niezbędnym samego istnienia krzywdy, — że to jest niesłuszne? Pozwól przypomnieć sobie pewien drobiazg. Przed wielu laty, będąc jeszcze dziećmi, bawiliśmy się razem nad brzegiem Bałtyku: szmerzące fale wyrzucały na piasek gwiazdy morskie: różnej wielkości ciała szkliste, galaretowate, z półkulistą powierzchnią, na której rozpięta gwiazda różowa o sześciu ostro zakończonych ramionach. Gdy woda je porzucała, — traciły swe kształty, ich barwy mętniały i nikły; widzieliśmy, że na piasku im nie swojo, więc pomagaliśmy im wrócić do wody: bosemi nogami popychaliśmy je, tocząc po piasku, albo rzucaliśmy — który z nas dalej rzuci od brzegu. Razem z gwiazdami wracały w ten sam sposób do wody kłęby wodorostów: niektóre drobne i splątane jak garść mchów, inne długie jak liście palmowe, o falbankowatych brzegach, i jeszcze jakieś gałązki ciemno zielone, rozszczerpione, pokryte jaśniejącymi guzami, jakby rozpuchłe w tych miejscach. Wchodziliśmy w wodę po kolana, przypatrując się z ciekawością i z dumą, jak „uratowane“ egzemplarze w rodzimym żywiole nabierały barw i kształtów. Obchodziło nas bardzo mało, że niektóre wodorosty zostawały podczas wrzucania do wody poszarpane i pomięte, gwiazdy morskie pokaleczone, z wyrwami w brzegach i pęknięciami nieraz przez całe ciało: liczyliśmy starannie wszystkie i, wróciwszy do domu, notowali liczbę „uratowanych“, wmawiając jeden drugiemu, że w końcu lata otrzymamy od Towarzystwa Opieki nad Rozbitkami nagrodę za energiczną akcję ratunkową. Raz jakoś, szukając ofiar, potrzebujących naszych usług, zaszliśmy pias-

kami aż do skał i rumowisk, wdzierających się w morze; przeskakując z głazu na głaz dostaliśmy się do punktu najbardziej wysuniętego i tam położyliśmy się na złomie, wysuwając ciekawie głowy poza krawędź, by popatrzeć w głębinę. Morze było spokojne i równe jak tafla zwierciadła, a w głębi — o zachwycie! — cały świat rozciągał się przed naszymi oczyma: słońce oświeślało długie ramiona strzelających z dna wodorostów, coś jakby ciemne ruchy otulały kamienie, miejscami jakaś zieleń jasna, delikatna jak tkanka pajęcza, lśniła złotawym połyskiem, czerwone i brunatne kule czepiały się rozspanych na dnie głazów. A na spokojnej powierzchni — dziesiątki gwiazd prześlicznych, posyłających w głąb wody delikatne smugi swych cieni. Zapominając o naszej roli, poczęliśmy je chwytac, podnosić, rzucać, pozostałym w wodzie nadawać ruch wirowy odpowiednimi pchnięciami. Wkrótce jednak znudziła nam się ta zabawa; i, leżąc spokojnie, patrzyliśmy w świat wodny. Wówczas — pamiętasz — zwróciłeś mą uwagę na coś jakby drobnutkie ruchy, jakby drganie faliste, przebiegające przez odrośla niekształtne, zwisające w głąb wody od pływających na powierzchni gwiazd: „patrzaj — wołałeś — rusza się, ten kisiel żyje!” Nie wiem dotychczas, nie sprawdzałem i mało mię obchodzi, czy drgania meduz były ich własne, czy też udzielone im przez ruch wody, jakiś wywołali. Pamiętam jednak dokładnie, iż od tej chwili — jak gdyby została zawarta pomiędzy nami umowa, — poczęliśmy otaczać meduzy szczególną troskliwością podczas naszych operacji ratunkowych.

Mirosław. Poprostu zaczęliśmy je uważać za istoty żyjące.

Bronisław. Nie, nie zaczęliśmy: uważaliśmy je za istoty żyjące już poprzednio. Nie zapominaj, że wzrastaliśmy w epoce, gdy właśnie koła bliskie naszych rodziców rozpoczęły zajadłą, a niestety w znacznym stopniu skuteczną agitację za uczynieniem nauk przyrodniczych podstawą systemu pedagogicznego, i że prawdopodobnie już mamki wpoiliły w nas pogląd, że wszelkie rośliny, zarówno jak zwierzęta, należą do świata żyjącego. Ta świadomość nie przeszkadzała nam nigdy, i nie przeszkadza obecnie, ścinać drzewa, zrywać kwiaty, deptać murawę, ile razy mamy ku temu sposobność i ochotę, nie mogła więc wówczas wpłynąć na zmianę postępowania względem gwiazd morskich. Przecież wówczas, nad morzem, do końca wakacji mieliśmy i targali wodorosty. Dlaczegoż meduzy braлиśmy ostrożnie i, z całą uwagą odniósłszy dalej od brzegu, powoli kładli na fale? Dlatego, żeśmy poczęli uważać je nie tylko za stworzenia żyjące, lecz — mniejsza o to, słusznie czy niesłusznie — za posiadające czucie. Pojęcie czucia jest w umyśle człowieka tak nierozzerwalnie związane z pojęciem ruchu dowolnego, że godzi się on uznać istnienie czucia tylko tam, gdzie widzi pewien ruch. Rośliny nie poruszają się, — więc nie czują; organizm, który, będąc podrażniony, wykonywuje pewne ruchy — czuje: oto jak rozumowaliśmy wówczas i jak stale rozumują niemal wszyscy. Powtarzam, nie twierdzę, że rozumowanie takie jest słuszne; chodzi mi o to, że taki sposób myślenia jest faktem. O ile więc mamy z ludźmi do czynienia, musiny się z tym faktem liczyć. — Jeśli ci chodzi o przy-

kłady, dowodzące słuszności tego, co mówię, porównaj traktowanie okazów w każdym ogrodzie zoologicznym i botanicznym. W zoologicznym, na każdej klatce masz napisy „nie wolno drażnić“, napisy, które, choć nie ochraniają zwierząt od drażnienia, w każdym razie ostrzegają osoby drażniące przed nieprzyjemnością, jaką mieć będą w razie, gdy je dozorca na tym przyłapie. Napis ten umieszczono, ponieważ ludzie zostali oddawna krzykiem, mrukiem i pazurami przekonani, że wkładanie do oczu zwierząt końców lasek i parasoli nie sprawia im przyjemności. W ogrodzie botanicznym napisów „nie wolno drażnić“ nie-masz wcale. Wyjątek stanowi jedna mimoza, przed którą stale podobny napis figuruje. Skąd ten wyjątek? Ponieważ mimoza jedna, dzięki swemu zamykaniu listków pod każdym dotknięciem, potrafiła przekonać botaników, że czuje również. Inne rośliny skądinąd myślących specjalistów o tym dotychczas nie przekonały; więc dotknięcia, ból im zadające, pozostają zawsze bezkarne. Jednym słowem, człowiek rozszerza swe uczucie miłosierdzia na istoty, znajdujące się poza jego obrębem bezpośrednim, o tyle tylko, o ile go one, przez swą widomą reakcję na wszelkie dotknięcia, mają możność przekonać, że chcą być traktowane, jako istoty czujące.

Mirosław. Powinieneś założyć stowarzyszenie przeciwko zrywaniu kwiatów, szczepieniu drzewek i t. p. Pierwszym celem takiego stowarzyszenia powinno być przeprowadzenie prawa międzynarodowego, karzącego aresztem trzydniowym pozostawienie jakiegokolwiek cebuli bez podlania.

Bronisław. Kary powinny być daleko surowsze.

Zresztą mniejsza o to. Powiedziałeś: powinienem założyć; — więc oczywiście, — nie założę. Moją misją, jak i wszystkich mych ziomków, jest nawracanie innych, nie zaś siebie. Lecz wracajmy do przedmiotu. Otóż rozpoznać swe miłosierdzie na zwierzęta, zakładając wszelakie stowarzyszenia opieki, zapobiegania wiwisekcji i t. p., a natomiast nie tworzymy żadnych towarzystw, wzbraniających okrucieństw względem roślin, dlatego, że zwierzęta żyją, a oprócz tego — gryzą lub wrzeszczą, gdy im rwać tkanki, kwiaty zaś żyją i — milczą. I to ich milczenie służy człowiekowi za sankcję wszelkiego nad nimi znęcania się. W popularny frazes, jakoby rośliny nie miały zdolności czucia, ponieważ nie mają sposobu wyrażenia tego w sposób dla nas dostępny, — człowiek myślący nie może wierzyć i nie wierzy. Jeśli są ludzie poważni, używający tego frazesu, to dlatego, iż chcą przezeń powiedzieć: „uważamy się za zupełnie usprawiedliwionych, zadając ból organizmom, nie mogącym wyrazić nazewnątrz swego czucia“. Tak więc, koniec końców, popularne kłamstwo o nieposiadaniu czucia przez rośliny służy nam jako świadectwo moralności naszego postępowania względem tychże roślin.

Mirosław. Pyszny jesteś z tym odkrywaniem nowych dziedzin, w których może się krzewić etyka! Jak tak dalej pójdzie, ciekaw jestem, czy niezadługo będzie istniał jakikolwiek kącik świata, gdziebyś jej nie umieścił!

Bronisław. Rzecz przesądzona: już teraz nie masz żadnego. Wszędzie, gdzie istnieje życie, istnieje pewien nasz stosunek do niego, a tym samym — etyka. Że zaś życie, w przejawach najróżnorodniejszych, istnieje wszędzie,

więc... — dośpiewaj sobie wniosek. Nasz stosunek do istnień nazewnątrz nas przejawia się w formach najrozmaitszych; wy zaś macie starannie podtrzymywaną iluzję, jakoby istniała jakaś jedna jedyna forma tego stosunku, jakaś jedna jedyna etyka, — co nie pozwala wam dostrzec jej, gdy tylko ma cokolwiek inne zabarwienie niż to, do jakiego oko wasze od dzieciństwa przywykło. Lecz nie odbiegajmy od przedmiotu. Nie zaprzeczysz teraz, że krępowanie się w czynach, względem jakiegokolwiek x nazewnątrz nas, wyrasta tylko na gruncie świadomości, że to x „również czuje“. Dalej faktem jest, że jedynie reagowanie tego x na podrażnienie dla ogromnej większości ludzi jest i prawdopodobnie przez długi czas pozostanie jedynym sprawdzianem, pozwalającym przypuszczać istnienie w nim zdolności czucia. Ta ogromna większość, — a przecież, jak wiadomo, każdy naród składa się jedynie z większości, — nigdy nie jest w możności odróżnić, czy owo x czuje, czy nie, o ile ono w ten lub inny sposób nie daje o tym znać. Obecność i forma reagowania jest to jedyny fakt, na którego podstawie człowiek określa formę swego stosunku do świata zewnętrznego: istnienia, nie dające mu wyraźnie znać o swych uczuciach, nazywa rzeczami i wręcz odmawia im zdolności wszelkiego czucia i życia; innym, nie mającym ruchów dowolnych, lecz mnożącym się niemal w oczach, zmiennym jak marzenie i nieraz pięknym jak marzenie, — również odmawia czucia, lecz łaskawie przypisuje życie: nazywa je — rośliny; całemu światu stworzeń, z których jedne czynią, czego on sam dotychczas nie potrafi, inne — wolą umierać, niż iść doń na służbę, nie odmawia czucia, lecz zato odmawia

duszy: wynalazł nawet nazwę specjalną dla tych stworzeń bezdusznych: zwierzęta; dopiero, gdy jakie istoty reagują na wszystkie bodźce zewnętrzne w taki sposób, jak on sam, — uznaje je za swych bliźnich. Ale i to nie zawsze: przez długi czas ci, którzy panowali nad światem i byli twórcami wszystkich wartości, — mężczyźni, odmawiali duszy połowie rodu ludzkiego: prorocy starego zakonu wręcz zaprzeczali, iż kobieta ją posiada, później sobory kościelne dysputowały nad tym i, już nawet oficjalnie uznając, wątpiły. Zasada „tylko Rzymianin jest człowiekiem prawdziwym“ odbiła się echem we wszystkich sprawdzianach, używanych w ocenie ludzi przez ludzi. Ile razy człowiek biały odkrywał jakieś nowe ziemie i znajdował tam mieszkańców o innej barwie skóry, — tyle razy rozpoczynały się spory, czy kolorowi są ludźmi, czy nie. I człowiek biały począł uważać kolorowych za bliźnich odtąd dopiero, gdy ci szeregiem czynów wykazali, że potrafią reagować na bodźce zewnętrzne w takiż sposób, jak i on sam: dopóki można było Murzynów całemi masami piętnować gorącym żelazem, sztukami i dziesiątkami sprzedawać na targach, dopóty Europejczyk uważał czarnych za czarne stada; dopóki Indianie dali się siłą nawracać, gardzono nimi nie dla miedzianej barwy ich skóry, lecz ponieważ notable hiszpańscy, mający dewizę: „raczej życie, niż honor“, wyczuwali miedziane dusze w tych, którzy przekładali zachowanie swego życia nad zachowanie swej wiary; dopóki cudzoziemskie okręty mogły bezkarnie ostrzeliwać japońskie miasta, dopóty biali mogli uważać się za wybrańców, którym opatrzność powierzyła panowanie nad rasą żółtą. Dopiero, gdy która z tych ras

barwnych za każdy cios przez Europejczyka zadany, potrafi ciosem odpłacić, za każdą krzywdę — równą krzywdą, za każdą spaloną wioskę — spalonym miastem, — wówczas dopiero poczynamy widzieć i uznawać je za zupełnie — bliźnich i mierzyć jedną miarą nasze własne i ich postęпки. Dopóki tego nie czynią, my biali będziemy widzieli w nich pół-ludzi: do ostatnich czasów zabicie Negrą w kolonjach Afryki karane było bez porównania łżej, niż zabicie białego; podczas wojny mandżurskiej Rosjanie, czyniąc wywiady, torturowali bez ceremonji Chińczyków, a ze schwytanemi Japończykami obchodzili się... w każdym razie bez tortur.

Mirosław. Ach, bezwarunkowo, wyjątki trafiają się do dziś dnia. Co wszakże nie przeszkadza, że każdy człowiek kulturalny uważa Negrów, Chińczyków etc. za ludzi sobie równych. Przecież prawo państw zachodnio-europejskich oraz centralne prawodawstwo Stanów Zjednoczonych nie czyni żadnej różnicy pomiędzy białym a czarnym.

Bronisław. Mój drogi, przynajmniej pomiędzy sobą nie bądźmy hipokrytami. Przestańmy stawiać pomiędzy sobą a faktami życia społecznego zasłony, utkane ze słów pięknych, podobnie, jak przestaliśmy je stawiać pomiędzy sobą a przyrodą. Co z tego, że ty i tobie podobni uznajecie wszystkich ludzi kolorowych za równych z odległości tysiąca mil, gdy ci wszyscy, którzy mają z niemi naprawdę do czynienia, jedni linczują Negrów, drudzy, sądząc linczujących, uwalniają ich od wszelkiej odpowiedzialności, inni — torturują Chińczyków, jeszcze inni uważają to za zgodne z prawem międzynarodowym. Staram ci się wy-

kazać taki stan rzeczy powodujące przyczyny, ty zaś opowiadasz mi o przyjętych jakoby ogólnie zasadach postępowania! Rozumiem, jeśli ta możliwość jednoczesnego zaspakajania sumienia jednych — przez teorie moralne, nie mające nic wspólnego z życiem, a potrzeb innych ludzi — przez czyny, nie mające nic wspólnego z teorią, uważana jest za dowód najlepszy gienjalności człowieka nowoczesnego. Lecz z jakiej racji mamy wahać się wskazywać na istotne pobudki rzeczy, których nie wahamy się czynić, — tego, doprawdy, nie rozumiem.

Mirosław. Choćby dlatego, aby, podając w jawną wątpliwość powszechne panowanie zasad przyjętych, nie naruszać tych stałych norm równości, na jakich oparte są stosunki w krajach cywilizowanych.

Bronisław. Takich norm nikt zachwiać nie może, poprostu dlatego, że ich nie ma. Wśród krajów cywilizowanych istnieją takie same gradacje ludzi na różne gatunki, oparte na tej samej ocenie intensywności cudzego uczucia zdolnością reagowania na bodźce zewnętrzne: ludzie pojedynczy i całe ich grupy uznają za posiadającego identyczną zdolność uczucia — „pełną duszę“ — tylko tego, kto w jednakowych okolicznościach zachowuje się w ten sam sposób, co oni. „Ten tylko jest mi równy, kto zdolny jest czynić to samo, co ja“, — oto jest istotna, często poniżej poziomu wyraźnej świadomości leżąca, skala dla mierzenia „równości“, skala, której używają zarówno arystokraci, jak socjaliści, mężowie stanu, artyści czy wyrobniecy. I tym to miernikiem psychologicznym kierowali się i kierują — zupełnie niezależnie od wszelkich haseł równości — wszyscy ludzie, wszystkie narody, całe życie co-

dzienne i cała polityka. W starożytnym Rzymie byli cesarze i, za ich przykładem idący, patrycjusze, którzy mieli zwyczaj rozgrzewania sobie stóp zziębniętych w rozprutych brzuchach niewolników. Rzym, — wbrew zapewnieniom niektórych niewolników, twierdzących, że im jest bardzo przyjemnie umierać, czując stopy pana pod sercem, — przekonał się ostatecznie, że czyny takie są bolesne, a przeto „złe“, wówczas dopiero, gdy przyszli zbuntowani niewolnicy, później — barbarzyńcy, i z jego senatorami poczęli robić to samo. Nie żadne chrystusowe słowa miłości bliźniego wpołyły we władców Rzymu wstręt do czynienia z niewolników krwawych kompresów, lecz dopiero świadomość, że ludzie prości, w ten sposób traktowani, z nimi również mogą uczynić to samo. Dopiero w świetle tego i tym podobnych doświadczeń mogło wyrósć i utrwać się pojęcie o równości pomiędzy patrycjuszem a niewolnikiem. Wspomnienia o legjonach Spartaka, — oto ta gołębica z różdżką oliwną, łagodząca gniew panów. Weźmy czasy późniejsze. Karol I angielski, panowie „Izby gwiazdzistej“ i ich następcy duchowi, dopóty uważali się za ludzi nieskończenie wyższych od członków izby gmin, dopóki posiadali monopol pozbawiania ich wolności, majątków i życia; poczęli uznawać izbę gmin za równą sobie we władzy wówczas dopiero, gdy ta zaczęła postępować z królem i jego zausznikami akurat tak samo, jak ci względem nich postępowali. Dopóki feudali francuscy w dniu powszednie systematycznie rujnowali dobrobyt chłopą, a w święteczne — ćwiczyli go, dopóty był on dla nich czymś nieskończenie niższym; został uznany za równego przez rewolucję francuską, t. j. z chwilą, gdy podniósł

rękę na feodała, zrujnował go i skatował. — Wszelki krok naprzód w tym, co nazywają postępem humanitaryzmu, dokonywuje się tylko wówczas, gdy przez stronę, której człowieczość jest poniewierana, zostanie dokonany na stronie przeciwnej szereg najbardziej niehumanitarnych czynów; czasem wystarcza wypowiedziana wyraźnie — nawet przez kogo innego — groźba dokonania takich czynów okrutnych, lecz to pod warunkiem, by widocznym było, że ten, kto grozi, ma siłę dostateczną do wykonania swej groźby: handel niewolnikami ustał dopiero wówczas, gdy sprzedających i kupujących poczęto słać do ciężkich robót; w Hiszpanji, w celu wykorzenienia okrucieństw świętej inkwizycji, trzeba było, by Napoleon ustanowił za umęczenie człowieka — śmierć, a za stosowanie tortur — długoletnią torturę więzienia: fachowi głosiciele miłosierdzia przestali znęcać się nad słabszymi, gdy spostrzegli, że znalazła się siła, która będzie bez żadnego miłosierdzia znęcać się nad niemi samemi w razie, gdy nie zaprzestaną swych praktyk. I tak ciągle, znowu i znowu, wskroś całą historję. Każdy, kto stale wojuje mieczem gwałtu, odkłada go wówczas dopiero, gdy widzi, że od takiegoż miecza może zginąć... W tej walce gwałtu z gwałtem zwycięża ten, kto ma większą pogardę śmierci. I trwały pokój pomiędzy walczącemi zakwita wówczas dopiero, gdy wzajemnie przekonali się o swej gotowości umrzeć.

Bronisław (*po chwili milczenia mówi dalej, wolno i bardzo spokojnie*). Zmiana postępowania naszego względem — pamiętasz — gwiazd morskich uwarunkowana była naszym uprzednim „odkryciem w nich“ czucia. Podobnie,

warunkiem niezbędnym dla zmiany postępowania każdego człowieka i każdego narodu, postępującego krzywdząco z innym człowiekiem lub narodem, konieczne jest przede wszystkim dokonanie odkrycia, że druga strona odczuwa dane postępowanie jako złe i krzywdzące. Ponieważ wszelka świadomość — indywidualna czy „zbiorowa“ — zawsze zajęta jest przez szereg absorbujących ją postrzeżeń, więc samo dokonanie owego „odkrycia podstawowego“ zależy od tego, czy reagowanie krzywdzonych jest dostatecznie silne. W opinii przeciętnej, tam, gdzie niema ze strony „krzywdzonej“ reakcji odpowiedniej, niema mowy o „krzywdzie“. Z tego wynika, że pierwszym obowiązkiem krzywdzonego jest zawsze za pomocą czynów odpowiednich zwrócić na swój stan czucia uwagę strony przeciwnej. W jakiej formie konkretnej te czyny winny wyrazić się dla osiągnięcia swego celu, — to zależy od całego szeregu warunków danego miejsca i czasu: w każdym razie muszą być tym intensywniejsze, im bardziej tępa lub pochłonięta innemi sprawami jest świadomość krzywdzącego, dość silne, by wysunąć się w niej na plan pierwszy i przezwyciężyć bezwład innych wrażeń. O ile krzywdzeni zawsze są pokorni, milczący i ulegli, — krzywdziciel nigdy nie jest w stanie zdać sobie sprawy, że wogóle krzywdzi. Sama świadomość czynienia krzywdy może zjawić się ze strony krzywdzącej dopiero wówczas, gdy poczuje pewien opór. Zasada niesprzeciwiania się złu przeocza ten fakt podstawowy stosunków społecznych, i dlatego jest nie tylko błędną, lecz w najwyższym stopniu demoralizującą i szkodliwą. I jeśli Rosjanie, — idąc za wskazówkami swego największego artysty, mającego wyobraźnię tak potężną, iż po-

zwala mu wierzyć, wbrew wszelkiej oczywistości, jakoby idea, nie poparta siłą, mogła podbić instytucje ludzkie, — jeśli ten naród miałby, w dodatku do wszystkich klęsk swoich, i tę ideę za swoją przyjąć, popełniłby moralne samobójstwo. Gdy żywy organizm nie reaguje na ból i ciosy, jest to oznaką, że rozpoczął się w nim rozkład: a nauka o niesprzeciwianiu się złu dąży do otamowania wszelkich odruchów naturalnych. W stosunkach społecznych żadna krzywda nie jest nigdy usunięta, dopóki poszkodowany nie pocznie wołać o sprawiedliwość. Krzywdzący nie podejrzewa, że ból zadaje, dopóki nie usłyszysz jęku ofiary; poczyną myśleć o cofnięciu swych palców, ból zadających, gdy ofiara zaczyna gryźć, — nigdy wcześniej; usuwa je dopiero wówczas, gdy uzna ofiarę za równą sobie, a uznaje za równą sobie wtenczas, gdy ona ma siłę i śmiałość płacić zębem za ząb, okiem za oko. Tylko skuteczny opór krzywdzonych może umoralnić krzywdzących.

Więc gdy cisza pokory zalega gmachy, natłoczone najemnym ludem; gdy w szeregach, pędzonych w zaświaty, nie widać żadnych ruchów prócz miarowego kroku nóg i od czasu do czasu wznoszącej się kaprałskiej pięści; gdy naród, któremu nakładają pęta, w samej strasznej chwili rozbioru jest tak spokojny, że jego w takiej chwili cichość służy potym za przedmiot chwały dla różnych czcicieli bezwładu; — to owo milczenie i spokój stwarza pozory, że oni wszyscy są syci swym losem. Ich krzywdziciele będą brali ten bezruch za dowód, że żadnej krzywdy nie było, i wmawiali w lud i w naród, że jest mu dobrze: oto był i jest bez niezadowoleń. Bo ludzie nie mogą w chwili, gdy im dzieje się niesprawiedliwość, popełnić większego

wobec siebie samych i swych krzywdzicieli przestępstwa nad to, że milczą i nie bronią się. Czasem — tłumacząc się w znużeniu — mówią: milczeliśmy, bo za jedno wescchnienie bólu — śmierć nam groziła. Lecz mówiąc tak, potępiają tylko samych siebie: albowiem ich milczenie jest dowodem, że strach śmierci większy jest u nich, niż przywiązanie do splugawionego ciągłą krzywdą życia. A człowiek, który nie jest gotów za czystość swego życia umrzeć, nie wart lepszego losu nad łańcuchy.

IV.

O tym, jak śmierć daje prawo do życia.

Mirosław (*czyta ostatnie kartki obszernego rękopisu*). „Jedynym istotnym węzłem społecznym są, leżące w głębi duszy każdej jednostki, wyobrażenia i pożądanía polityczno-społeczne, pod warunkiem, aby one jednocześnie istniały i w świadomości całego ogromnego szeregu innych jednostek. Mniejsza o to, w jakiej te idee wyrażają się formie, mniejsza o to nawet, czy w danej chwili przejawiają się w czymkolwiek nazewnątrż, czy też tkwią ukryte w najgłębszych tajniach myśli, pozornie odciętej od życia: chodzi tylko o to, aby istniały. Historia uczy nas, że naród umiera nie wówczas, gdy ginie jego państwo, gdy mu zabierają terytorjum i wydzierają język, lecz gdy znika duch żywy, spajający jego obywateli, gdy przestaje istnieć łącznik wewnętrzny, niematerialny, składający się z myśli i ideałów. Dopóki ta więź istnieje, dopóki społeczeństwo nie straciło zdolności posiadania i doskonalenia swych ideałów, odrodzenie polityczne zawsze jest możliwe“.

Bronisław. To już wszystko?

Mirosław. Tak, to ostatni ustęp zakończenia. — —
A teraz na ciebie kolej. Co o tym powiesz?

Bronisław. Co o tym powiem? — Wszystko to jest najzupełniej słuszne. Streszczasz tu poglądy, wypowiedziane w rozdziałach poprzednich, przytym nie nadajesz im tu tego odcienia sentymentalizmu, jaki, przy całej delikatności, raził mię w miejscach, gdzie te same poglądy uzasadniasz i rozwijasz szerzej. Jako skrót tego, co było powiedziane poprzednio, cała ostatnia część wraz z zakończeniem jest zupełnie dobra. Wogóle cała twoja praca, zwracając uwagę na fakt, że w życiu społecznym funkcja myślenia oderwanego bywa tak samo do utrzymania samego życia potrzebna, jak i wszelka inna funkcja, — już przez to samo jest wartościowa, tymbardziej, że dotychczas w wielu wypadkach pretensje do realizmu socjologicznego ugruntowane są często na przeoczeniu tego faktu. — Oto wszystko, co mam do powiedzenia o tym, co napisałeś. Teraz będę mówił o tym, czego nie napisałeś. Mianowicie, nie zgadzam się, abyś po przeczytanych ustępie postawił kropkę i pod spodem napisał „finis“. Powtarzam, — wszystko, co powiedziałaś wyżej w swej książce jest słuszne: można spierać się o drobiazgi, o siłę nacisku, kładzionego na myśli oddzielne, tu i owdzie o błyskotliwość stylu, lecz myśl główna, wybornie streszczona przez ostatnie stroki, jest bez zarzutu. Jest nawet więcej, niż bez zarzutu: jest prawdziwa. Będąc prawdą, nie jest jednakże całą prawdą. Oto me zdanie.

Mirosław. Mój kochany, nie bądź jako wyrocznia delficka. O co ci właściwie chodzi?

Bronisław. Wyrażę się jaśniej. Idzie mi o to, że czytelnik, skończywszy twą rzecz, może zrobić wniosek, iż dość, by społeczeństwo miało pewne idee szerokie oraz

niejaką bystrość, pozwalającą je rozwijać i dopełniać, a Nemezys dziejowa przyjmie te cnoty, jako raty asekuracyjne, gwarantujące z czasem wypłacenie premji w postaci odrodzenia politycznego. W każdym razie niema w twej książce niczego, co wskazywałoby na fałszywość takiego wniosku. Mówiąc inaczej, czytelnikom, przyjmującym twą teorię życia społecznego, grozi niebezpieczeństwo, jakiego nie uniknęli pewni badacze cywilizacji zachodniej, przed którymi nie ostały się najsłynniejsze tajniki duszy Europejczyka, — Japończycy.

Mirosław. Jednym słowem, grozi im nowe niebezpieczeństwo japońskie!

Bronisław. Prawie! Otóż pierwszych wschodnich badaczy Europy uderzała szalona potęga państw chrześcijańskich, przeciwko której ich ojczyzna była bezsilna. Widząc ogrom tej potęgi, stawiali sobie pytanie: gdzie jej źródło? I odpowiedź, jaką dawali niektórzy badacze japońscy, idący śladem starej filozofji chińskiej, brzmiała: wyższość cywilizacji zachodniej wypływa z wyższości etyki i religji zachodniej. O wnioskach praktycznych, opartych na tym objaśnieniu, nie będę nic wspominał ponad to, że one to głównie skłoniły następną gienęrację do przedsięwzięcia nowych studjów w tym kierunku; te dalsze badania wykazały, że najwyższe formy postępu europejskiego rozwinęły się dzięki bezlitosnej konkurencji, najzupełniej niezgodnej z idealizmem chrześcijańskim i sprzecznej z każdym ze znanych wielkich systematów etycznych. Przeceńnienie znaczenia idei w procesie rozwoju społecznego, — oto był błąd, popełniony przez pierwszych badaczy wschodnich, oto jest owo twoje nowe „niebezpieczeństwo japoń-

skie“, dla niektórych narodów bezwarunkowo daleko groźniejsze, niż militarna potęga Japonji. I twoja teoria, nieopatrzona żadnym komentarzem, może być pojmowana — i napewno przez wielu będzie pojmowana — w taki sposób, iż posiadanie przez nasze społeczeństwo pewnych idei oderwanych jest nie tylko niezbędnym, lecz i zupełnie wystarczającym warunkiem odzyskania bytu politycznego; co byłoby iluzją nie mniejszą, niż objaśnienie potęgi cywilizacji zachodniej wyższością zachodniej etyki.

Mirosław. Daruj, lecz nie rozumiem, na jakiej podstawie prorokujesz, iż teoria, rozwijana przezemnie, zostanie wyjaśniona w sposób, który ja sam nie mógłbym uznać za słuszny. Z równą słuszością mógłbyś twierdzić, że ponieważ nie mówię nic, dajmy na to — o istnieniu gatunku *homo sapiens*, więc krytyka postawi mi zarzut, że uważam podtrzymywanie tegoż gatunku za zbędne w procesie jegoż własnego rozwoju.

Bronisław. Nie pochlebiaj swym przyszłym krytykom! Do wygłaszania takich logicznych idjotyzmów ludzie są u nas absolutnie niezdolni; na to trzeba mieć odwagę i niepospolitą samodzielność myśli; jedyne głupstwa, na jakie mogą się zdobyć, to wypowiadanie małych, malutkich nonsensów, niedostatecznie jaskrawych dla tego, by uwidocznić się ich sprzeczności, a jednocześnie zupełnie dostatecznych dla obrócenia w niwecz wszelkiej roboty na na nich opartej. I twoja teoria będzie tłumaczona i wykończana w sposób, o jakim mówiłem, ponieważ to właśnie będzie jej styl *miniature*, dziś u nas modny. Objasnienie, o jakim mówię, odpowiada — nie powiem „duchowi narodowemu“ — lecz niektórym motywom w nim istnieją-

cym. Jaka piękną harmonję tworzyć będzie teoria o ideowym, wyłącznie ideowym, jedynie ideowym sposobie odrodzenia się, z teorią postępu, dążącego z żywiołową siłą ku coraz wyższym formom społecznym! I tu leży niebezpieczeństwo. Gdzież jest ludzi tylu, wierzących święcie w postępek, jak w Polsce? A przecież zgodzisz się chyba, że trudno u nas o formułę bardziej niezgodną z rzeczywistością, a więc bardziej fałszywą, złą, przewrotną, jak formuła postępu...

Mirosław. Co takiego?! Wolne żarty!

Bronisław. Mówię zupełnie na serjo.

Mirosław. I ty to mówisz, ty, — na serjo?! — Daj, lecz to jest tak niezgodne ze wszystkim, co kiedykolwiek od ciebie słyszałem, że...

Bronisław (*przerywając*). Że przechodzą cię ciarki, czy wydając taki sąd, nie popełniam jakiejś niekonsekwencji, — nieprawdaż? Otóż, drżysz, ile ci się żywnie podoba, lecz jednocześnie zechciej mię chwileczkę posłuchać. Zgoda na taki kompromis? — dobrze? — — Jak ci wiadomo, przy wyprowadzaniu wszelkich uogólnień, winniśmy brać pod uwagę nie jakiś wązki zakres zjawisk, lecz liczbę ich, o ile możliwości, największą. Jest to prawo zasadnicze wszelkiego myślenia prawidłowego, i jedynie te wnioski posiadają wartość, przy których wyprowadzaniu było ono ściśle przestrzegane. Otóż, jest dla mnie rzeczą najoczywistszą, że to prawo kardynalne nie było i nie jest stosowane przez wszystkich, mówiących nam o powszechnym prawie postępu, przejawiającym się w stosunkach społecznych. Bo proszę cię: — weźmy do ręki pierwszy lepszy podręcznik historii powszechnej i na jego podstawie ułoż-

my dwie tablice faktów: jedną, obejmującą ludy i państwa, które, wolniej lub szybciej wzrastając w liczbę, siłę, bogactwo, kulturę, utrzymały się przez szereg wieków do dziś dnia i mają wszelkie szanse po temu, że utrzymają się nadal; drugą, — obejmującą narody i plemiona, które po erze rozkwitu, bądź zostawiwszy olbrzymią, pełną sławy historję, bądź tylko jakieś wieści po sobie głucho i niejasne, zginęły bez śladu, lub do dziś wegietują w bezwładzie i upadku. Liczba imion, zapisanych na tablicy pierwszej, okaże się wprost śmiesznie małą w porównaniu z długą litanją na tablicy drugiej. Gdzież dziś kultura Assyrii, Egiptu, Kartaginy, Fenicji, będąca niegdyś dumą świata? — we wspomnieniach, w gablotkach starożytników, w statuetkach, porozciąganych po wielkich muzeach. Kto pamięta imiona Jadźwingów, Wenedów, Wizygotów? Gdzie państwa Azteków, Judei, Azji środkowej? — nie pozostało nawet dość gruzów, by wyobraźnia mogła ich dawną wielkość odtworzyć! Gdzie najbardziej kulturalna ze wszystkich potęg, powstałych na gruzach imperjum Rzymskiego, państwo Maurów? — A ile ludów i państw nie zostawiło absolutnie żadnych śladów swego bytu i tym sposobem na zawsze przepadło dla dziejów?... Zagłada i zniszczenie jest prawidłem w dziejach, długowieczne utrzymanie się przy życiu — wyjątkiem. Albo weźmy Indje i Chiny; zgodzisz się chyba, że napróżnoby tam szukać na przestrzeni ostatnich lat tysiąca jakichś bezspornych dowodów postępu, a wszak to są dwa największe konglomeraty z pomiędzy ludów dziś żyjących, daleko liczniejsze, niż wszystkie ludy białe razem wzięte. Teorja postępu opiera się na obserwacji bardzo wazkiej liczby faktów, w przeciągu sto-

sunkowo krótkiego czasu, notabene faktów, ograniczających się jedynie do państw Europy; nie może więc rościć pretensji najmniejszej nietylko do uważania jej za jakieś prawo bezwzględne, lecz nawet do jako tako uzasadnionego uogólnienia. Że owa teoria ma takie szerokie warstwy zwolenników w Polsce, dowodzi to tylko raz jeszcze, iż ludzie wierzą najłatwiej w fikcje, znajdujące się w sprzeczności zupełnej z ich doświadczeniem bezpośrednim. Bo przecież zupełną fikcją jest dopatrywanie się objawów postępu w samej historii i teraźniejszości polskiej. Sprawdzianem ostatecznym wszelkiego postępu jest wzrost wolności indywidualnej wewnątrz danego społeczeństwa. Otóż wolność ta wzrastała bez wątpienia w ciągu ostatnich lat dwustu w Anglii, Skandynawji, Ameryce, na Honolulu nawet, lecz stale zwężała się w Polsce: wolność sumienia była u nas daleko większa w wieku XVI-ym, niż w końcu XVIII-go, a obecnie jest mniejsza, niż za czasów Księstwa Warszawskiego. W stuleciu XV-ym i następnych władza polityczna zobowiązywała się wobec jednej przynajmniej klasy: „nikogo nie uwięzimy, kto nie będzie przekonany sądownie“; a w ciągu stulecia XIX-go, nie mówiąc już o początkach XX-go, — gdzie znajdziesz u nas choć jeden stan, cieszący się tym przywilejem? Mamy tedy ciągle zmniejszanie się wolności osobistej. Jeśli tedy mamy robić uogólnienia, tyjące się naszego życia społecznego, to uogólnieniem jedynie słusznym jest regres, cofanie się na całej linji; oto jest stadjum historyczne, w jakim znajdujemy się obecnie. Że zaś, rejterując, wierzymy święcie w postęp, i głosimy o naszym posuwaniu się naprzód, — stwierdza to jedynie naszą słowiańską jednorodność ze

sztabem armji, który niedawno trzymał się podobnej taktyki na polach Mandżurji.

Mirosław. Ach, ach...

Bronisław. Mniejsza zresztą o stosunki powinowactwa, uwydatniające się w tym oświeceniu. Otóż to, co powiedziałem wyżej, — dotyczy samego faktu postępu. Co się zaś tyczy kierunku, występującego u nas pod firmą postępu, to pod względem najważniejszym odegrał on rolę więcej niż kompromitującą wsteczną.

Mirosław. Co znowu?!

Bronisław. Tak jest. Przypomnij sobie, na jakiej koncepcji opierały się hasła, głoszone przez pozytywizm, hasła, które notabene dziś znów, pod innemi tylko formami, znajdują głosicieli i słuchaczy —? Przedewszystkiem, — na postulatcie stanowczego odrzucenia raz na zawsze wszelkiej myśli o wystąpieniach czynnych, powtóre, — na poglądzie, iż szczęście ogółu nie jest zależne od jego samodzielności politycznej. To jest, postęp w Królestwie Polskim przyjmował te same dwie główne idee polityczne, jakie w sąsiedniej Galicji głosiła „Teka Stańczyka“. I rozsiewał je w stokroć zjadliwszy i bardziej niszczycielski sposób właśnie dla tego, że był postępem: bo u nas ludzie, uważający się za myślących, mieli się na ostrożności względem wszelkich wskazań, pochodzących z galicyjskiego obozu konserwatywnego, a jednocześnie — przyjmowali bez wahania tę samą truciznę z kielicha, na którym lśniły cyzelowane inicjały postępu. — Tak było dawniej, a co dziś stamtąd mamy? Głoszenie swych obaw o ciągłość rozwoju społecznego, przypominające obawy o ciągłość ewolucji ciał astralnych, a poza tym — wołanie o kul-

turalną pracę polityczną, w imię kultury podjętą, a polegającą na myśleniu o kulturalnej opozycji względem niekulturalnej siły; — jednym słowem: okłamywanie siebie i innych. Znowu i znowu słyszymy na różne tony głoszoną myśl „stanowczego rozbratu z tradycją porywów zbrojnych“. Zamiast mówić, jak na mężów przysłało: — dobry jest pokój po walce, bo daje możność przygotowania się do nowej walki, — ci ludzie wciąż na różny ład mówią: — precz z wszelką myślą o wojnie! A ta ich mowa, rzekomo pełna humanitaryzmu, znaczy: nie chcemy myśleć swych myśli do końca; i nie chcemy umierać inaczej, jak w łóżku.

A zwróć uwagę na całą naiwność przeciwstawienia, będącego dawniej i dziś kamieniem węgielnym naszego patentowanego postępu, przeciwstawienia dwóch pojęć: dążenia do posuwania własnej cywilizacji i dążenia do odzyskania samodzielności politycznej: „wyrzekamy się ideału swojego państwa, natomiast pragniemy systematu stosunków, pozwalających wszystkim rozwijać się wszechstronnie“. Jeśli u nas program własnej kultury bez państwa własnego mógł być i może być głoszony zupełnie poważnie przez ludzi, którzy samych siebie biorą również na serjo, dowodzi to tylko zupełnego w Polsce zaniku wszelkiego poczucia humoru: przecież kultura i państwo to są rzeczy tak ściśle ze sobą związane, że w warunkach normalnych podobna myśl fantastyczna zostałaby wyśmiana przez studentów z pierwszych kursów prawa; studenci z kursów wyższych nie raczyliby się nawet z niej śmiać: co najwyżej sam fakt rozpowszechnienia się w pewnym społeczeństwie wiary w możność osiągnięcia kultury bez włas-

nej organizacji państwowej, zaklasyfikowaliby jako jeden z objawów upadku umysłowego krajów podbitych.

Mirosław. Dobrze, — lecz cóż to wszystko ma do mojej książki?

Bronisław. Zaraz zobaczysz. Ponieważ do niedawna uważano u nas, że proces myślenia polega na przykrawaniu faktów do formuł importowanych w stanie gotowym, więc pośród szeregu teorii sprzecznych z oczywistością, a kurs mających, teoria postępu, dokonywującego się warunkowo a z siłą praw przyrody, cieszy się popularnością niezwykłą. Zaprzeczyć tego nie możesz. Otóż na tym gruncie twoja teoria o konieczności pielęgnowania pewnych wyraźnych idei i nastrojów politycznych będzie komentowana i rozwijana w sposób, o jakim wspominałem. Już teraz słyszę, jak różni ludzie, powołując się na twą książkę, będą nucić na starą nutę: — „postęp sam przez się doprowadzić musi do wyższych form społecznych, a ponieważ zawsze dąży w kierunku idei przewodnich danego społeczeństwa, więc przyszłość nasza jest najzupełniej zabezpieczona: pozostaje nam rozwijać nasze idee polityczne i czekać, aż rozwój wcieli je w życie“. I bądź pewien, — podobna historjozofja jest tak wygodna, iż zwolenników znajdzie całe tłumy. Oto masz — w przyszłości — skutki praktyczne popularyzacji twych poglądów. Takie będziesz zbierał żniwo, jeśli wyraźnym wskazaniem na czynniki inne, o biegu procesu historycznego decydujące, nie zabezpieczysz z góry swych myśli od podobnego zniekształcenia.

Mirosław. Jednym słowem, chcesz, abym określił wagę gatunkową każdego z pierwiastków składowych ży-

cia społecznego, oznaczył ich współzależność, wymierzył, jakiego z nich jest u nas za wiele, jakiego za mało, czyli nie tylko napisał całą socjologję, lecz postawił diagnozę, oraz zapisał pacjentowi receptę, mającą powrócić go do zdrowia. Ślicznie dziękuję. Nie czuję najmniejszego powołania do uprawiania tego rodzaju lecznictwa.

Bronisław. Natomiast masz powołanie do głoszenia niewinnych teorii, które mogą być wyzyskane przez różnych felczerów społecznych ku ich większej chwale i pomysłowości... — to cię nie przestrasza.

Mirosław. To mię poprostu nic nie obchodzi, tak samo jak fizyka, stawiającego nową teorię, nie obchodzi, kto, jak i kiedy zrobi z niej użytek.

Bronisław. Zapewne, zachodzi jednak ta różnica, że w danym wypadku wiadome jest z góry, kto z twej teorii zrobi użytek i w jakim kierunku.

Mirosław. Nie uważam niebezpieczeństwa, jakieś odmalował, ani za prawdopodobne, ani też — gdyby nawet istniało — za groźne. W każdym razie, — jeśli już mamy rozpatrywać kwestje oderwane ze stanowiska czysto utilitarnego, przeciw czemu zasadniczo protestuję, — to sam zwróciłeś uwagę na plusy, wynikające z mego sposobu ujmowania zjawisk. O ile nawet moja teoria byłaby tu i owdzie tłumaczona niewłaściwie, — szkody stąd płynące zostaną przeważone przez to, iż usunie ona z wielu umysłów lekceważenie znaczenia „czystej ideologii“, lekceważenie błędne, a tak dziś pospolite.

Bronisław. I w rezultacie wybije jeden klin za pomocą innego, który będzie siedział niemniej silnie niż pierwszy; zamiast wiary we wszechpotęgę czynników ma-

terjalnych, będziemy mieli wiarę we wszechmoc idei. Ślicznie dziękuję! Mój drogi, — wyjdźmy nareszcie raz z okresu sporów o to, co stanowi fundament życia, a co tylko przybudówkę, skończmy z tym komponowaniem coraz nowych warjantów na temat ulubionej nieboszczyka Locke'a teorii o istotnych i wtórnych cechach przedmiotów. Przecież dziś wiemy, że jak zapach kwiatu stanowi jego „istotę“ równie dobrze jak jego masa i ciężar, podobnie i w całokształcie zjawisk społecznych wszystkie czynniki są jednakowo istotne i niezbędne. O ile czynimy pomiędzy temi czynnikami jakieś różnice, to dlatego tylko, że indywidualnie lub zbiorowo, w każdym więc razie — czysto subiektywnie i celowo, przekładamy jedne nad drugie z tego lub innego powodu. Lecz właśnie, ponieważ mamy tu swe sympatje i wstręty, zagadnieniem praktycznie najważniejszym staje się zbadanie współzależności pomiędzy różnemi czynnikami, albowiem jedynie posiadanie takiej wiedzy umożliwia nam wpływanie na zjawiska. Co stanowi „najgłębszą ośnowę rzeczy“, to, przyznam się, nie a nic mię nie obchodzi. Obchodzi mię to tylko, jak można przemieniać rzeczy istniejące na takie, jakie pragnę, by były. Że idee są jednym z czynników życia społecznego, — o tym nie wątpię, zresztą o tym nie wątpi nikt, nawet najbardziej religijni ateusze. Czy one są, czy nie, ową treścią najistotniejszą życia zbiorowego, — powtarzam, mało mię to interesuje. Jedynie ważnym jest — kiedy, w jakich warunkach i jakim sposobem mogą one stać się czynną siłą społeczną. A o tym dyskretnie milczysz.

Mirosław. Ależ ja o tym tylko mówię! Przecież

główną myślą mej książki jest dowodzenie, iż niektóre idee moralne i polityczne są same przez się siłą!

Bronisława. Otóż to właśnie, że sił moralnych, istniejących same przez się, niema, nie było i nie będzie, tak samo jak niema i być nie może sił fizycznych, istniejących same przez się, — niezależnie od substancji. Jak ciało przejawia się tylko w formie pewnych sił, podobnie wszelka siła nie może przejawić się inaczej, jak przez pewne czysto materialne działanie. I siła moralna, o ile istnieje, musi przejawiać się w pewien konkretny sposób. Oczywiście, może istnieć i jako energia utajona, lecz jakież miałoby sens nagromadzanie jej, gdyby w końcu nie miała przejawić się, jako czynna? Tak czy inaczej, — samej siły moralnej od form jej przejawiania się oddzielać nie można; więc jeśli mówimy o niej, winniśmy również powiedzieć o przejawach, jakie przybrać musi pod groźbą zagłady. Winniśmy powiedzieć, że wszelka idea moralna, o ile w swych przejawach zewnętrznych spotyka pewien opór fizyczny, wtenczas tylko może go przewyciężyć, gdy sama zdobędzie się na siły fizyczne, w swej zbiorowości potężniejsze od tych, jakie przedstawia strona przeciwna; że siła zawsze idzie przed prawem, jeśli prawo nie potrafi poprzeć swych pretensji potęgą materialną; że idee moralne zwyciężają o tyle tylko, o ile w brutalnej walce zwyciężają ich przedstawiciele; że...

Mirosław (*gwaltownie*). To, co mówisz, jest nietyle uwzględnieniem konkretnych przejawów idei, ile wprost barbarzyńskim pojmowaniem moralności. Prostu — utożsamieniem moralności z siłą.

Bronisława. Nazywaj to sobie, jak chcesz, — my

w tym barbarzyństwie żyjemy. Lecz pomimo to — mylisz się: utożsamiać moralności z siłą ani myślę. Uzależniam tylko zwycięstwo wszelkiego morału i wszelkiej idei od sił, jakie zdoła skupić na swe usługi, — co jest czymś zupełnie różnym. Po to, aby pewna idea ot tak sobie, z dnia na dzień, wegietowała, dość jest, by zyskała garść zwolenników kochających ją, ale jeszcze bardziej — siebie; lecz po to, aby mogła urzeczywistnić się kosztem innych prądów, musi znaleźć wyznawców, gotowych zawrzeć sojusz ze śmiercią; siła i wielkość idei mierzy się zawsze liczbą ludzi, gotowych za nią umrzeć.

Mirosław. Słowa, słowa, słowa...

Bronisław. Tak, lecz słowa zupełnie dokładnie odzwierciedlające stosunki. Weź jakiegokolwiek idee współrzędne, masy ogarniające, mniejsza o to, idee religijne czy polityczne, weź, dajmy na to, chrześcijaństwo i islamizm, demokrację i absolutyzm; — pytam się: jak można ustanowić obiektywnie wyższość jednej z tych idei nad drugą, jeśli nie ilością ludzi, którzy złożyli za nie swe życie? Na jakiej stronie historia znajduje więcej jednostek, oddających dobrowolnie swe życie, tej daje palmę pierwszeństwa. Dla tego to, nie dla czego innego, zawsze uważać będziemy chrześcijaństwo za wyższe od islamizmu, demokrację za lepszą od absolutyzmu. Z oceną wartości idei polityczno-społecznych i dziś jest to samo: tę uważamy za mającą lepiej uzasadnione prawo bytu, która ma po swej stronie — lub niezadługo mieć będzie — większą liczbę gotowych w jej imię zginąć. I nic innego, jak śmierć jest miernikiem tych najwyższych wartości życiowych.

Mirosław. Jeśli stosować ten miernik do stosunków

międzynarodowych, okaże się, że ponieważ każde państwo musi zginąć wówczas, gdy nie znajdzie się wielu chcących zań umrzeć, więc nie warto jest istnienia to, które nie umiało obronić się. Wydajesz tym samym wyrok potępienia na społeczeństwa, które zginęły w nierównej walce; mówisz im: nie wartoście były istnieć.

Bronisław. Bynajmniej. Te, które giną — walczyły, i w walce śmierć znalazły, warto były tego, by żyć nadal. Wyrok potępienia tyczy się tych jedynie, które ginęły bez walki. I nawet gdyby tu w tej chwili zjawił się przed nami cień mej ojczyzny, musiałbym jej powiedzieć: „śmierć twa jako państwa była słuszną i sprawiedliwą, albowiem dzieci twe nie chciały zginąć za ciebie; musiałas umrzeć, gdyż w chwili rozbioru nam brakło woli umierać. I nie będziesz żyła, dopóki nie nadejdzie chwila, gdy każde z twych dzieci będzie gotowe zginąć za ciebie“. — Twarde są moje słowa, lecz musimy mieć odwagę patrzeć w przeobrażliwe oblicze prawdy, — inaczej nigdy nie będziemy mogli z jej światła korzystać... Otóż możesz kuć swój duchowy łącznik myśli i ideałów, możesz czynić go dźwięcznym jak stal, lecz dopóki nie przekonasz całych milionów, że muszą ważyć się na to, na co nie zdobyli się we właściwym czasie ich dziadowie — na dobrowolne oddanie się śmierci, — dopóty myśl o państwowym odrodzeniu jest tęczą na mydlanej bańce. I dla kogoś, kto uważa za swój obowiązek mówienie o zachowywaniu więzów duchowych, obowiązkiem dziesięćkroć ważniejszym jest wskazywanie, że dla tego, abyśmy zmartwychpowstali, musimy przede wszystkim umieć ofiarować się na śmierć.

M i r o s ł a w. Dodaj również: i wskazywanie na niszczącą

siłę pęt, jakie na naszą zdolność do czynu nakłada morał o bezwzględnej wartości życia... — Lecz zarazem musisz się zgodzić na to, że, ponieważ idee są ziarnem, noszącym w sobie zaród przyszłych zdarzeń, potęgowanie ich i szerzenie jest również pracą społecznie niezbędną. Wszak, co ma kiedyś żyć w rzeczywistości, musi najprzód narodzić się w pieśni.

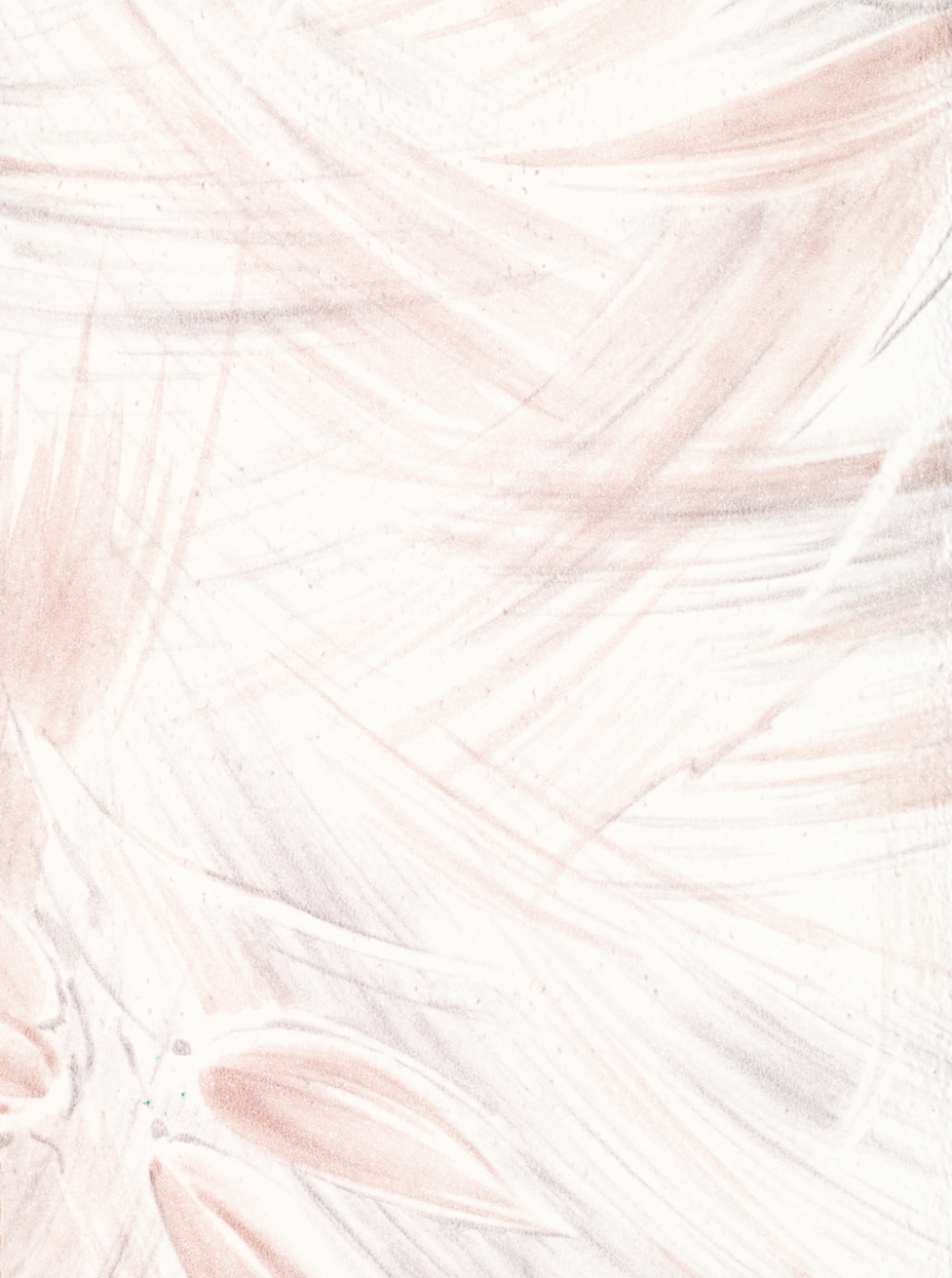
Bronisław. Tak. Lecz narodzić może się wówczas tylko, gdy znajdują się tacy, którzy nie tylko kiedyś za przyszłą rzeczywistość, lecz dziś i za pieśń o niej potrafią umierać.

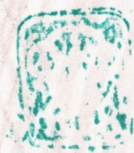
K O N I E C.

DIALOGÓW WYLICZENIE:

	Str.
Morał nowoczesny	3
O tym, jak śmierć służy ku przedłużeniu życia	17
Niesprzeciwianie się złu	31
O tym, jak śmierć daje prawo do życia	50

BUS





Do kasy

nr inw.: BG - 272549



BG 272549